



P. WILLIAM

Klęska na Filipinach



P. William

KŁĘSKA NA FILIPINACH

| SCAN & OCR by blondi@mailplus.pl |

Okladkę projektowała
Hanna Bodnar

Scan & OCR
blondi@mailplus.pl

© Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1958r., Wydanie I

📖 SCAN & OCR by blondi@mailplus.pl 2009

Printed in Poland

Nakład 100 000 egz. Objętość 4,75 ark. wyd. 3, 13 ark. druk. Papier, druk. mat. VII kl. 70 g. Format 70x100/32 z Fabryki Papieru w Częstochowie Oddano do składu 6.03.58. Druk ukończono w kwietniu 1958. Wojskowa Drukarnia w Łodzi Zam. nr 59 z dn. 27.01.53.

Cena zł 5.-

M-5

SPIS TREŚCI:

MIECZ NAD FILIPINAMI	5
PODSTĘPNY ATAK	9
PIERWSZA WALKA PORUCZNIKA GASTONA	18
WSCHODZĄCE SŁOŃCE NAD CAVITE	28
OSTATNIA WALKA S-38	34
UPADEK MANILI	44
KONIEC SAMURAJA SUGURU	50
„BASTARDZI Z BATAANU”	55
STRACENICZA WALKA CORREGIDORU	60
KRZYŻÓWKA Z TYGRYSEM.....	66

[pusta strona]

MIECZ NAD FILIPINAMI

Porucznik Tim Gaston, młody oficer marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, byłby bardzo zdziwiony, gdyby mu ktoś powiedział, że Filipiny staną się terenem jednej z najzaciętszych walk obronnych stoczonych podczas wojny z Japonią na Pacyfiku.

Jeżeliby znał lepiej historię archipelagu, w którego stronę płynął, uniknąłby zapewne w kilka miesięcy później niemiłego uczucia zaskoczenia. Wtedy jednak Filipiny wydawały mu się jedynie atrakcyjną, obcą nazwą, łączącą się w myślach z obrazem wilgotnych, dusznych dżungli, plantacji trzciny cukrowej, zagajników palmowych i pięknych kobiet o śniadych twarzach.

Inaczej natomiast patrzyli na Filipiny już od wielu dziesiątków lat kolonizatorzy i admirałowie przemierzający Pacyfik na czele flot wojennych. Oprócz bogactw naturalnych, jak kopro, trzcina cukrowa, konopie manilskie, tytoń, owoce mango, rudy niemal wszystkich metali ze srebrem i złotem włącznie, dostrzegali oni przede wszystkim kluczowe położenie strategiczne archipelagu. Zamykał on jak wielka, naturalna bariera wyjście z Morza Południowo-Chińskiego na Pacyfiku i dzielił Japonię od bogatych wysp Indii Holenderskich.

Pierwszy ujrzał te wyspy, które wyłaniały się z niebieskiego bezmiaru wód Pacyfiku jak zielonkawe, małe plamy, Magellan opływający na czele hiszpańskich karaweli kulę ziemską. Wydawało mu się na widok ich mieszkańców Tagalów, Wisajów, ludów pochodzenia malajskiego, że odkrył upragniony kraj cennych korzeni i pieprzu, że jest już u wybrzeży Indii. Nie wiedział wówczas jeszcze, że odnalazł archipelag będący bramą i do Azji, przez którą musi przejść każdy statek płynący od strony wybrzeży Ameryki.

Ocenili to jednak dobrze jego następcy, wojowniczy i okrutni admirałowie hiszpańscy. W 1543 roku ogłosili i wyspy kolonią hiszpańską, nadali im od imienia króla Filipa II nazwę „Islas Filipinas” i wyrzynając ludność i oraz niszcząc starą kulturę podbili je w latach 1565— 1571.

W wielu jednak okręgach, mimo znacznego rozprzestrzeniania się języka i cywilizacji hiszpańskiej, ludność nadal broniła swej niepodległości. Doprowadziło to do wybuchu ogólnonarodowego powstania, które po dwu latach walk zakończyło się w 1896 roku zwycięstwem Filipinczyków.

Dzielny lud filipiński nie cieszył się jednak długo wywalczoną wolnością. Amerykanie, którzy udzielali poparcia powstańcom, po ich zwycięstwie szybko wprowadzili na miejsce wojsk hiszpańskich... własne.

Filipiny, wrota do Azji południowo-wschodniej i Chin, których penetrację rozpoczął Właśnie wielki przemysł amerykański w ostrej walce ze swymi konkurentami angielskimi, niemieckimi, rosyjskimi i japońskimi, wydawały się

Stanom Zjednoczonym najdogodniejszą bazą wypadową na ogromny kontynent Azji.

Ocena ta była zapewne słuszna, lecz nie zachwyciła Filipińczyków, którzy powtórnie chwycili za broń. Musieli ulec jednak okupantowi wskutek znacznej ich przewagi militarnej. Filipiny w roku 1901 znów stały się kolonią. Tym razem Stanów Zjednoczonych.

Opanowany przez Amerykanów archipelag składał z się z 7100 wysp i wysepki rozrzuconych w kierunku południowym, na przestrzeni 1200 kilometrów. Największą i strategicznie najważniejszą spośród jedenastu dużych wysp archipelagu był najdalej na północ wysunięty Luzon, o powierzchni około 109 000 kilometrów kwadratowych. Tak jak niemal wszystkie wyspy filipińskie, Luzon pokryła tropikalna dżungla wspinająca się na zbocza gór dochodzących do 3000 metrów wysokości. U podnóży ich rozpostarły się wielkie bagniska zarosłe drzewami mangrowymi i podmokłe pola plantacji ryżowych.

Wody oceanu wdarły się w pewnym miejscu na 35 kilometrów w głąb Luzonu tworząc zatokę manilską. To właśnie u jej brzegu leży wybudowana przez Hiszpanów stolica wyspy, Manila, będąca jednocześnie doskonałym portem naturalnym. Ponadto wulkaniczny, górski Luzon posiadał dogodny dla żeglugi zatoki Legaspi i Lamon na południowym przylądku wyspy zwanym Batangas, Subic u wschodnich wybrzeży przylądka Bataan strzegącego wejścia do Zatoki Manilskiej i wreszcie Lingayen w środku wschodnich brzegów wyspy.

Nie jest więc rzeczą przypadku, że nowi panowie wysp przystąpiwszy do umacniania się pod względem militarnym wybrali jako bazę dla swej floty, lotnictwa i wojsk wyspę Luzon.

Z chwilą gdy nad Pacyfikiem po roku 1940 coraz bardziej poczęła narastać groźba wojny z Japonią, znaczenie strategiczne Luzonu jako wyspy, położonej najbliższym brzegów japońskiej wówczas Formozy, jeszcze bardziej wzrosło.

Pojawiły się wówczas w gazetach amerykańskich artykuły, w których Luzon i jego umocnienia poczęto nazywać drugim Gibraltarem. Odnosiło się to do wielkiej bazy floty w Cavite, położonej w odległości trzech kilometrów od Manili, i do skalistej wysepki Corregidor, leżącej u wejścia do Zatoki Manilskiej.

Te dwa ufortyfikowane miejsca oraz niedostępna dżungla i góry Luzonu, a w szczególności przylądka Bataan, leżącego w zasięgu ciężkich dział umieszczonych w skalnych schronach Corregidoru, miały stać się zaporą dla armii japońskiej w przypadku, gdyby Nippon zdecydował się na atak.

Mimo wyraźnego niebezpieczeństwa wojny militarnej przygotowania na Luzonie oraz wyposażenie obu baz pozostawiało wiele do życzenia. Dziś możemy stwierdzić, że przyczyną tego były nadzieje polityków amerykańskich, że uda im się skierować ekspansję japońską na radziecką Syberię. Zwlekano więc do ostatniej chwili z wysłaniem na Filipiny większych ilości uzbrojenia i nie wzmacniano tam również garnizonów wojskowych.

Jakkolwiek Filipińczycy nie darzyli Amerykanów i sympatią i stale dążyli do odzyskania pełnej wolności, jednak wobec groźby okrutnego zaboru japońskiego korzystniejsze było dla nich utrzymanie zdobytej w roku 1934 autonomii. Toteż rząd filipiński z wielką energią przystąpił w połowie roku 1941 do formowania nowych jednostek, oprócz istniejących już kilku pułków, tak zwanych skautów filipińskich. Niestety brak było dla wielu z nich uzbrojenia, zresztą pomyślano o tym za późno. W tym czasie gotowy był już plan, który zadecydował o losie Filipin na trzy najbliższe lata.

* * *

Plan ataku na Filipiny był składową częścią gigantycznego planu podboju Azji południowo-wschodniej i obszarów Pacyfiku, opracowanego przez Sztab Generalny w Tokio.

Rządzące Japonią koła militarne na czele z wojowniczym i fanatycznym premierem generałem Tojo, wychowankiem zaborczej Armii Kwantuńskiej i czołowym przedstawicielem neo-samurajskiego ruchu Kodo-Ha, tak zwanej „drogi cesarza”, japońskiej odmiany faszystów, postanowiły wykorzystać wojnę, rozpętaną w Europie przez swego sojusznika Hitlera, dla realizacji własnych celów.

Już 6 sierpnia 1941 roku opracowany w szczegółach plan agresji przedstawiono do akceptacji Naczelnej Kadzie Wojennej.

W głównych zarysach stawał on przed flotą i armią japońską następujące zadania:

Zniszczyć niespodziewanym atakiem lotniczym, przed wypowiedzeniem wojny, amerykańską Flotę Pacyfiku stacjonowaną w Pearl Harbor na Hawajach. Wykorzystując zaskoczenie przeciwnika przeprowadzić ofensywę powietrzną i lądowanie wojsk desantowych na Filipinach, Malajach, Borneo i Sumatrze. Po ich opanowaniu zająć Jawę i pozostałe wyspy Indii Holenderskich, a w dalszej kolejności Australię. Równocześnie z działaniami wojskowymi winna być natychmiast rozpoczęta eksploatacja ekonomiczna zajętych terenów w celu zapewnienia Japonii niezbędnych do prowadzenia dalszej wojny surowców strategicznych, w szczególności zaś ropy naftowej i kauczuku.

Japonia zdawała sobie przy tym sprawę, że Stany Zjednoczone i Anglia nie ulegną po pierwszym, nawet udanym ciosie. Admirałowie i generałowie w Tokio sądzili jednak, że ich flota i armia, operujące na krótkich liniach wewnętrznych, potrafią obronić perymetr przebiegający według ich planu od Wysp Kurylskich przez Wake i archipeląg Marshalla z jednej strony i granicę burmańsko-indyjską, Półwysep Malajski oraz wyspę Jawę z drugiej strony.

Nieudane próby przebicia się flot amerykańskiej i brytyjskiej przez ten perymetr w okresie, jak przewidywano, osiemnastu miesięcy do dwu lat powinny zmusić Anglię i Stany Zjednoczone, prowadzące wojnę na dwu frontach, do zawarcia pokoju z Japonią, która będzie wówczas mogła zachować większość podbitych terytoriów. Sądzono, że po zawarciu tego rodzaju pokoju łatwiej będzie również zakończyć podbój wielkiego terytorium Chin.

Do tego czasu zresztą Hitler mógł wygrać wojnę w Europie. Wówczas terytoriom opanowanym przez Japonię nie groziłoby już żadne niebezpieczeństwo.

Wykonanie tak zarysowanego planu poddawało ponad połowę ludności kuli ziemskiej pod ekonomiczną, polityczną i wojskową kontrolę „Syna Nieba”! Nigdy jeszcze w historii ludzkości nie był stworzony plan tak ogromnego i szybkiego podboju. co dziwniejsze, nie budził on w przeciętnym Japończyku ówczesnych czasów żadnych zastrzeżeń natury moralnej.

Misją zleconą przez bogów Japonii było w jego pojęciu zrealizowanie świętej idei Hakko-Ishiu, połączenia „ośmiu rogów” świata pod „jednym dachem”. Wobec tego wszystkie środki były dozwolone. Napaść z zaskoczenia stanowiła przeciwieństwo części Bushido — kodeksu wojennego samurajów. Wcześniejsze wojny prowadzone przez Japonię z Rosją i Chinami rozpoczynały się w ten sposób i obie zostały zwycięsko zakończone. Widocznie więc niebiosa aprobowały te metody...

W ramach wykonania ustalonego planu szef Połączonych Flot japońskich admirał Yamamoto powierzył zadanie opanowania Filipin, stanowiących główną zaporę w marszu na południe, 3 Flocie dowodzonej przez admirała Takahashi.

Podczas konferencji oficerów flagowych, odbytej 26 listopada na pokładzie krążownika „Ashigara”, admirał Takahashi przydzielił zadania poszczególnym zespołom.

W dniu 5 grudnia flota inwazyjna, w skład której wchodziło 8 ciężkich krążowników, 7 lekkich krążowników, 40 niszczycieli, 2 lekkie lotniskowce i 2 okręty-matki wodnopłatowców, szereg stawiaczy i poławiaczy min, ścigaczy oraz transportowców, była gotowa do akcji. Działanie jej wspierać miała 11 Flota Powietrzna oraz jednostki lotnicze armii lądowej z Formozy, łącznie 452 samoloty bojowe.

Ostatnim poleceniem, które Yamamoto wydał admirałowi Takahashi, było zajęcie Filipin w jak najkrótszym terminie. Podobną dyrektywę otrzymał również generał Homma, dowodzący wojskami lądowymi.

Powodzenie japońskiego planu wojennego zależało od szybkości jego realizacji. Gdyby przeciwnikom udało się związać w walce siły japońskie i w tym czasie zgromadzić rezerwy do obrony innych terytoriów, wojna mogła się przedłużyć i przyjąć niekorzystny dla Japonii obrót.

Takahashi i Homma postanowili więc złamać opór obrońców Filipin szeregiem błyskawicznych uderzeń. Z tym to zamiarem okręty 3 Floty wypłynęły z baz na Pescadorach i Karolinach ku Filipinom.

PODSTĘPNY ATAK

Było już dwadzieścia po ósmej dnia 7 grudnia 1941 roku, gdy dowódca amerykańskiej Floty Dalekiego Wschodu, admirał Thomas Hart, wszedł do swego prywatnego apartamentu w Manila-Hotel. Dziś znów pracował do późna.

W jego wieku, a miał już 64 lata, należało dbać o zdrowie. Stanowisko jednak, które zajmował, wyraźnie temu nie sprzyjało. Toteż admirał czuł się bardzo zmęczony. Sam przy tym nie wiedział, co wyczerpuje go bardziej: czy wyciężona praca, czy poczucie niemal całkowitej bezsilności. To drugie było niewątpliwie gorsze. Położenie, w jakim się znalazł, było prawdziwą anomalią w pojęciu wojskowym. Był odpowiedzialny za obronę Filipin przed desantowymi operacjami marynarki japońskiej. Równocześnie troszczyć się musiał o obronę wielkich przestrzeni wodnych wokół wysp Indii Holenderskich, których podbój Japonia niewątpliwie planowała w poszukiwaniu źródeł ropy naftowej i kauczuku.

Tymczasem nie posiadał nawet minimum sił potrzebnych do wykonania chociaż jednego z tych zadań.

Cała flota, jaką dysponował, składała się z 1 ciężkiego krążownika, 2 przestarzałych lekkich krążowników, 13 niszczycieli, 28 łodzi podwodnych i dywizjonu ścigaczy. Nie było w jej składzie ani jednego okrętu liniowego i lotniskowca. Osłona powietrzna była przy tym całkowicie niedostateczna.

Jego potencjalny przeciwnik, marynarka japońska, dysponował natomiast 10 pancernikami i 10 lotniskowcami, stosunek zaś innych okrętów wynosił 41 do 210.

Jeszcze więcej troski w obliczu groźby ataku przysparzało admirałowi położenie geograficzne Filipin.

Archipeląg leżał w odległości 6200 mil od wybrzeża Kalifornii, a 4800 mil od Wysp Hawajskich. Szybki statek na przebycie tej drogi potrzebował ponad trzy tygodnie czasu. Tą drogą zaś miały nadchodzić posiłki i zaopatrzenie dla Filipin. Nie była ona w żadnym wypadku ani pewna, ani bezpieczna.

Na przestrzeni 2000 mil w kierunku wybrzeży Stanów rozciągały się archipelagi Marian, Karolin i Marshalla znajdujące się w posiadaniu Japończyków. Pierścieniem baz lotniczych i morskich rozbudowanych na nich odcięli oni Filipiny od ich zaplecza. Admirał Hart wątpił, czy amerykańskiej Flocie Pacyfiku stacjonowanej na Hawajach będzie łatwo przełamać ten pierścień w celu przyścia z pomocą Filipinom, tak jak przewidywał to plan wojny opracowany w Office of Naval Operations¹. Japończycy natomiast mogli działać swobodnie po krótkich wewnętrznych liniach komunikacyjnych, mieli bowiem do pokonania od Takao na

¹ Kierownictwo Operacji Marynarki Wojennej. Szef jego był dowódcą floty wojennej.

południu Formozy do Aparii na północy Luzonu zaledwie 270 mil i tylko 482 mile do Manili.

W tej sytuacji bombowce japońskie mogły swobodnie pewnego dnia zaatakować flotę kotwiczącą w Cavite z baz lądowych. Początkowo admirał Hart usiłował przekonać Waszyngton o beznadziejnym militarnie położeniu Filipin przy ich równocześnie kluczowym znaczeniu dla obrony południowo-zachodnich obszarów Pacyfiku. Wszystkie jego starania kończyły się jednak niepowodzeniem napotykając na rutyniarstwo, obojętność i bezmyślność.

Właściwie powinien był się tego spodziewać. Od dawna już uważał kontradmirała Turnera, zastępcę admirała Starka do spraw operacyjnych, jedynie za karierowicza, sam zaś Stark, szef Office of Naval Operations, był jego zdaniem bardziej przedstawicielem interesów wielkiego przemysłu stoczniewego niż specjalistą od zagadnień wojenno-morskich.

Nie dziwił się więc niczemu, tylko z bólem patrzył, jak statki amerykańskie, zamiast na Filipiny, płynęły z uzbrojeniem i paliwem do... Japonii.

Admirał Hart wiedział, że w Stanach Zjednoczonych istniała grupa ludzi wielkiego biznesu, którzy poważnie wpływali na politykę rządu i poprzez dostawy dla Japonii chcieli nakłonić ją do ataku na Związek Radziecki, a przy tym jak najwięcej zarobić. Hart sądził, że polityka ta obróci się w końcu przeciwko Stanom, toteż z zadowoleniem przyjął decyzję embargo na eksport paliw i surowców strategicznych, wydaną w czerwcu przez Roosevelta i wymierzoną przeciw Japonii. Niestety, nie szło z nią w parze wzmocnienie sił amerykańskich na Filipinach.

Sytuacja tymczasem z dnia na dzień stawała się poważniejsza.

Admirał Hart przedsięwziął ze swej strony wszelkie możliwe kroki. Wody przybrzeżne zostały zaminowane, zadania okrętów na wypadek nagłego wybuchu wojny ściśle określone. Jego ostatnie zarządzenia wprowadziły stan gotowości bojowej w całej miniaturowej flocie dzisiejszej nocy patrole w pełnym uzbrojeniu krążyły wokół brzegów Luzonu.

O godzinie dziewiętnastej czterdzieści pięć Hart wyszedł wraz z admirałem Purnellem z Marsmann Building w Manili, gdzie mieściło się dowództwo floty, udał się do swego apartamentu w luksusowym hotelu. Po drodze umówili się na następną dzień na partię golfa.

Kładąc się spać admirał myślał o przyjemnościach tej gry. Miło będzie poruszać się nieco w porannym chłodzie, po pięknej murawie placu golfowego, ocienionego drzewami.

* * *

Na lotnisku wojskowym w Clark Field kapitan Mc Spad den spojrzął na zegarek.

Zagadał się z Gastonem, który tej nocy wypływał ze swymi ścigaczami na patrol wzdłuż wschodniego i północnego brzegu Luzonu. Zrobiło się późno, dochodziła już dziewiąta. Trzeba było się śpieszyć. Za pół godziny powinien być już w obozie wojskowym Camp Murphy. Nie wypada przecież, ażeby miły Jack Lindsay czekał...

Zresztą trzeba przyznać, że i on sam miał dzisiaj ochotę oderwać się trochę od obowiązków. Wykorzystał więc pretekst, jakim było pokazanie Lindsayowi, który dopiero co przybył ze Stanów z oddziałem czołgów, nocnego życia Manili. Musiał przecież przynajmniej w ten sposób mu się zrewanżować za serdeczną gościnność, jaką okazali mu młodzi Lindsayowie podczas ostatniego urlopu.

Urlop... Tak, to były przyjemne chwile. Trzeba przyznać, że w tym roku udał mu się wyjątkowo dobrze.

Teraz jednak wołał o tym nie myśleć. Okres, który nastąpił później, nie należał do najprzyjemniejszych. P-40 z jego eskadry były niemal cały czas w powietrzu. Latanie poczynało mu już powoli brzydnąć.

Inna rzecz, że nie mógł mieć pretensji o to do generała Breretona, dowódcy sił lotniczych na Filipinach. Sam wiedział dobrze, jak mało mieli do dyspozycji samolotów. Na całym archipelagu było zaledwie 70 myśliwców i 34 bombowce. Meco wywiadowczych „Catalin” posiadał we flocie admirał Hart. Wszystko to jednak było diabelnie mało.

Japończycy ostatnio rozzuchwalili się niesłychanie. W pierwszych dniach czerwca w czasie patrolu Mc Spadden widział na własne oczy wielki konwój otoczony okrętami wojennymi, kierujący się przez Morze Chińskie ku południowi. Odczuł wówczas po raz pierwszy niepokój. Co by się stało, gdyby ów zespół płynął na Filipiny? Nad okrętami japońskimi unosiły się całe roje szybkich myśliwców typu „Zero”.

Mc Spadden pomyślał wówczas, że niełatwo byłoby odeprzeć takiego przeciwnika. Celem Japończyków były jednak wówczas Indochiny Francuskie. Wykorzystywali zwycięstwa swego sojusznika Hitlera w Europie...

Mc Spadden nieraz już zastanawiał się nad przyczynami pobłażliwości rządu amerykańskiego dla ekspansji Japończyków. Pamiętał doskonale oburzenie, jakie wywołało na Filipinach zatopienie kanonierki „Panay” i ostrzeliwanie jej załogi ratującej się wpław.

„Musiały tkwić w tym wpływy wściekłych izolacjonistów, którzy nawet Roosevelta publicznie nazywali »war mongerem«² — myślał wówczas. — Dla zysków z dostaw gotowi byłiby sprzedać nas nawet »japom«.”

Był więc zadowolony, gdy po zajęciu przez Japonię Indochin Roosevelt ogłosił bezwzględny zakaz eksportu paliwa i surowców strategicznych. Nareszcie Japończycy nie będą mieli na czym latać.

² Podżegacz wojenny.

Japończycy jednak nadal kręcili się w powietrzu. Mc Spadden uważał, że spotkania z pilotami samolotów z czerwonym słońcem podczas patroli są nawet zbyt częste i znajdują się w nadmiernej bliskości brzegów Filipin. Piloci japońscy jednak za każdym razem przyjaźnie machali skrzydłami. Postępowali tak samo jak ich dyplomaci prowadzący rokowania w Waszyngtonie, którzy rozplýwali się w zapewnieniach serdecznych uczuć Japonii dla Stanów Zjednoczonych.

Wszystko to razem Mc Spaddenowi wcale się nie podobało.

Dziś jednak nie chciał i o tym myśleć. Wyglądził i starannie letni mundur i wsiadł do oczekującego przed domem samochodu.

W drodze czuł jeszcze lekki niepokój. Wmawiał w siebie, że jest on nie uzasadniony. Wszystkie samoloty są na miejscu, a na jutro nie przewidziano na szczęście żadnych lotów. Będą więc cały dzień na lotnisku. Mechanicy nareszcie doprowadzą maszynę do porządku...

* * *

Komandor Osaga Subitsu, oficer operacyjny sztabu 3 Floty, odebrał od dyżurnego radiotelegrafisty ostatnie komunikaty meteorologiczne.

Krażownik „Ashigara”, okręt flagowy wiceadmirała Takahashi, na którym płynął komandor, znajdował się w odległości 120 mil od północnych brzegów Luzonu.

Wiadomość, którą przed chwilą otrzymał ze stacji w Takao, była niepokojąca. Przewidywane w dniu 8 i 9 mgły nad obszarem Formozy i Filipin mogły uniemożliwić współdziałanie z lotnictwem. To zaś wymagałoby dokonania poważnych zmian w dotychczasowym planie.

Ciężkie krążowniki sił osłony musiały wówczas wysunąć się przed lekki zespół okrętów kontradmirała Hary, aby swą wielkokalibrową artylerią zastąpić działanie bomb lotniczych.

Komandor rozwinął mapy i szybko zaczął obliczać dane dotyczące szybkości i położenia, jakie w zmienionej sytuacji powinny zająć poszczególne jednostki.

Musiał się z tym śpieszyć. Czasu do świtu pozostało już niewiele, a ustalonej godziny rozpoczęcia desantu nie można było zmienić.

Obawa przed złą pogodą, która tak trwożyła komandora Subitsu, nie przeszkadzała zupełnie szeregowcowi Ozumie Fukumoto. Przeciwnie, żołnierz byłby bardzo zadowolony, gdyby nareszcie zrobiło się nieco chłodniej.

Ciasne wnętrze transportowca „Tanyo Maru” było wypełnione po brzegi. Wokół leżały części umundurowania, plecaki, hełmy i uzbrojenie. W gęsto zawieszonych hamakach spali żołnierze. Zapach potu unoszący się w zużytych, dusznym powietrzu nie pozwalał Ozumie zasnąć.

Cicho ześliznął się z hamaka, włożył mundur i wyszedł na pokład.

Noc była spokojna. W powietrzu panował przyjemny chłód niesiony od oceanu lekką bryzą. Horyzont wisiał tak nisko, jak to bywa tylko na tych szerokościach geograficznych. Szeregowcowi Fukumoto wydawało się, że maszty statku niemal zawadzają o jasno świecące gwiazdy.

Złudzenie to sprawiło wiele kłopotu i nieprzyjemności oficerowi wachtowemu niszczyciela „Minatsuki”, porucznikowi Kato.

W pewnej chwili dojrzał on na granatowym niebie biały punkt świetlny. Był pewien, że przesuwają się on i że jest to samolot. Ponieważ nie uprzedzono ich o przelotach własnych lotników, mógł to być zatem tylko samolot amerykański.

Aby się upewnić, wskazał go ręką bosmanowi Shiyeki Kigoura, on twierdził to samo. Białe światło niewątpliwie było znakiem pozycyjnym na ogonie samolotu.

Wówczas porucznik Kato ogłosił alarm lotniczy. We wszystkich pomieszczeniach okrętu zajęły się sygnały, a na pokład wybiegli w pośpiechu marynarze. Wkrótce lufy dział i kaemów niszczyciela wzniosły się ku niebu.

Po kilku minutach okazało się, że białe światło było tylko planetą Wenus, która chwilowo nie posiadając żadnych złych zamiarów w stosunku do zespołu japońskiego.

Tej nocy marynarzom na „Minatsuki” trudno już jednak było zasnąć.

Nie spali również żołnierze piechoty na transportowcu „Saguri Maru”. Statek był przeładowany i wielu z nich musiało spędzić tę noc w braku miejsca na pokładach.

Kapral Tamkiki Hasja z ciekawością przyglądał się marynarzowi wachtowemu stojącemu przy małym pokładowym dziale. Początkowo próbował z nim nawiązać rozmowę, ale marynarz okazał się mrukiem.

Kapral skierował tedy swe zainteresowanie ku łodziom desantowym zwisającym nieruchomo z obu burt okrętu. Właściwie znał je doskonale z ćwiczeń, które przeprowadzali od dłuższego już czasu. Mimo to teraz wydały mu się jakieś obce. Majaczyły czarno w świetle księżyca kanciastymi kształtami. Blacha była lepka i nieprzyjemna w dotyku.

Gdy pomyślał, że rano ma płynąć w jednej z nich po morzu pod ostrzałem dział i karabinów maszynowych jankesów, zrobiło mu się jakoś niewyraźnie.

Przed odejściem do wojska jego czcigodna matka O-Masu uprzedzała go, aby uważał na siebie i wystrzegał się przede wszystkim wody, bo słabo pływa. Zatopić zaś taką łódź nie jest przecież trudno. Wystarczy jeden pocisk...

Tamkiki Hasja odrzucił tę natrętną myśl i przypomniał sobie słowa, które powtarzał przed wypłynięciem porucznik Yamakara: „Pamiętajcie, że obowiązek jest cięższy od góry, podczas gdy śmierć jest lżejsza od pióra”. Mimo wszystko obraz rozrywanej pociskiem łodzi i dobrych, starych oczu matki, czcigodnej O-Masu, znów powrócił.

W tym momencie na pokład wyszedł z kabiny oficerskiej kapitan Ozuma Suguru. Jego koledzy już od wielu godzin grali w kości. Początkowo brał udział w

grze, później jednak ochota mu odeszła. Chciał zobaczyć, co robią jego żołnierze. Rano przecież miał ich poprowadzić do walki.

Do świętej walki, w której pod osłoną dobrych Kami³ zwyciężą nieprzyjaciela, aby spełnić misję zjednoczenia wszystkich narodów pod berłem Mikada, syna bogini słońca. Powinni zmieść wroga, tak jak wiatr jesienny zmiata liście z drzew.

Lekki niepokój nie opuszczał jednak kapitana Suguru. Jak zachowują się jego żołnierze w ogniu bitwy? Są jeszcze młodzi i nie ostrzelani. Ta myśl nie dawała mu teraz spokoju. Nie ma przecież większej hańby dla dowódcy niż niewykonanie przez jego oddział zadania. Ze swej strony zrobił wszystko, by wychować ich na dobrych żołnierzy. Wpajał im nieustannie zasady regulaminu. Opowiadał także przy różnych okazjach piękne i wzruszające historie z przeszłości, między innymi o samuraju, którego głowa po odcięciu mieczem podskoczyła jeszcze z ziemi, aby zatopić zęby w gardle wroga.

Tuż przed odpłynięciem uczył żołnierzy wydawać groźny okrzyk bitewny. Musiał przyznać, że wykonywali go dobrze. Wkrótce go usłyszy wróg.

Na myśl o tym kapitanowi Suguru zrobiło się przyjemnie. Jeszcze tylko kilka godzin. Może dobre Kami pozwolą mu, że będzie mógł zakłuć szablą kilku przeklętych jankesów, którzy odważyli się stanąć przeciw planom cesarza. Byłoby to wielkie szczęście. Tą szablą ściał już w służbie Mikada wiele głów jeńców chińskich w Mandżurii. Walka o ziszczenie wielkiej idei Hakko-Ishiu rozpocznie się jednak naprawdę dopiero teraz. Spadnie w niej dużo głów amerykańskich.

Z tymi myślami kapitan Suguru powrócił do kabiny, by znów wziąć udział w interesującej grze w kości, ulubionej wśród młodych oficerów, wyznawców Kodo-Ha, zaszczytnej „drogi cesarza”.

O porannej bitwie myślał również kontradmirał Ha-ra, dowodzący z pokładu krążownika „Natori” tak zwanym „Pierwszym Zespołem Zaskoczeniowym” wchodzącym w skład 3 Floty.

Teraz siedział na pomoście bojowym i obserwował morze, które mimo zapowiedzi stacji w Takao nie chciało na razie pokryć się mgłą.

W delikatnej poświacie księżycowej widział wyraźnie sylwetki sześciu niszczycieli swego zespołu, które otoczyły sześć transportowców przewożących wojsko. W przedzie szybko posuwały się zwrotne ścigacze łodzi podwodnych, po bokach płynęły stawiacze min.

O świcie szyk ten nieco się zmieni. Niszczyciele wysuną się nieco do przodu i ogniem dział zniszczą wspólnie z bombowcami stanowiska amerykańskie na wybrzeżu. Wówczas transportowce spuszcza łodzie desantowe z piechotą.

Skrzydeł zespołu podczas całej operacji będą pilnować kąśliwe ścigacze łodzi podwodnych na wypadek, gdyby jakiś amerykański okręt podwodny próbował przeszkadzać w lądowaniu.

³ Duchów opiekuńczych.

W przypadku silnego oporu na pomoc przyjdą znajdujące się w pobliżu siły główne admirała Takahashi — 2 ciężkie i 1 lekki krążownik oraz 2 statki-bazy wodno-płatowców, którymi dowodzi bezpośrednio dowódca floty.

Hara nie spodziewał się jednak silnego oporu. Z meldunków wywiadu było mu wiadome, że brzegów Aparii, które miał opanować, broni zaledwie jeden batalion skautów filipińskich, a krążowników Harta nie ma nat Luzonie.

Nie obawiał się również przebiegu porannej walki: admirał Takahashi, dowódca 3 Floty, siedząc w swej kabinie na ciężkim krążowniku „Ashigara”. Oczekiwał natomiast z niecierpliwością na depeszę z pancernika „Nagato” od admirała Yamamoto, szefa Połączonych Flot japońskich. Jej treść zadecyduje o powodzeniu nie tylko tej operacji. Gdy depesza przyniesie niekorzystne wiadomości, wówczas cały ich wysiłek zarówno w okrasie przygotowań, jak i teraz jest nadaremny. Japonię i jej flotę czeka klęska...

Na myśl o tym stary admirał poczuł dreszcz, mimo, że w kabinie było całkiem ciepło.

* * *

Wiadomość, na którą z taką niecierpliwością czekał admirał Takahashi, otrzymał wcześniej admirał Hart w Manili. Nie przyszła ona oczywiście od Yamamoto.

W nocy z dnia 7 na 8 grudnia służbę oficera dyżurnego floty pełnił w Marsmann Building podpułkownik William Clement z Korpusu Piechoty Morskiej.

Z przebiegu służby mógł być właściwie zadowolony, Wszystko odbywało się normalnie. Pomiedzy godziną dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą otrzymał meldunki od dowódcy zespołu ścigaczy, który wyszedł na patrol wzdłuż zachodnich brzegów Luzonu, oraz od łodzi podwodnych operujących na wodach zatoki Legaspi. Treść ich była uspokajająca. W pobliżu brzegów Filipin nie zauważono żadnych podejrzanych ruchów statków. Nie natrafiono na ślady pobytu okrętów wojennych lub obcych samolotów.

Okolo godziny drugiej w nocy podpułkownik Clement poczuł senność. Regulamin pozwalał mu zdrzemnąć się nieco na stojącym w pokoju tapczanie.

Upřednio podpułkownik postanowił sprawdzić jeszcze raz zabezpieczenie pokoi w gmachu i czujność wartowników oraz napisać raport z przebiegu służby. Mógł to zrobić spokojnie. Do rana nie powinno zdarzyć się nic, co zasługiwałoby na umieszczenie w meldunku. -

Dochodziła godzina trzecia, gdy wrócił do swego pokoju. W myśl decyzji, którą podjął poprzednio, wyjął książkę raportów oficerów dyżurnych floty.

Kończył już pisać meldunek, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł dyżurny radiotelegrafista, sierżant Leroy.

Jeden rzut oka na jego twarz upewnił Clementa, że Leroy przyniósł jakąś nadzwyczajną wiadomość. Był bardzo blady i nie zachowywał normalnej służbowej postawy. Clement przez chwilę myślał, że sierżant zachorował nagle i przyszedł o tym powiedzieć. Leroy bez słowa podał mu krótki, wąski pasek papieru. Była na nim napisana najdziwniejsza wiadomość, jaką Clement w czasie swej blisko dwudziestoletniej służby wojskowej otrzymał. Słowa depechy brzmiały:

„Pearl Harbor enemy air raid — not drill”⁴.

— Mój Boże — zdołał tylko wyszeptać — a więc wojna.

Czuł, że twarz ma w tej chwili na pewno nie mniej bladą od twarzy sierżanta Leroya.

To, czego się spodziewali, nadeszło: Japończycy zaatakowali Stany Zjednoczone bez wypowiedzenia wojny...

Gdy pierwsze napięcie nerwów nieco osłabło, podpułkownik Clement połączył się z apartamentem admirała Harta. Po kilku sekundach Hart był już przy telefonie.

— Panie admirale — powiedział Clement — niech pań przemycje twarz zimną wodą. Przychodzę z depeszą nadzwyczajnej wagi.

Odległość dzieląca Marsmann Building od Manila-Hotel wynosi zaledwie 300 jardów. Clement w zdenerwowaniu zapomniał wsiąść do dyżurnego samochodu Przebył drogę biegnąc. Po minucie był już w pokoju Harta.

Stary admirał całkowicie ubrany siedział na skraju łóżka. Gdy Clement złożył meldunek, zapytał, czy posiada on pewność, że depecha jest oryginalna. Clement mógł go upewnić, gdyż sierżant Leroy powiedział mu, że poznał, sposób nadawania radiotelegrafisty stacji marynarki wojennej na Ford Island w Pearl Harbor, który był jego starszym przyjacielem. Technika zaś nadawania jest jak charakter pisma — nie da się sfalszować.

Admirał Hart spodziewając się wybuchu wojny z Japonią nieraz już w duchu przygotowywał się do tego, co powie, jakie wyda rozkazy w owym momencie. Teraz jednak, gdy przed oczyma miał ten pasek papieru z niewiarygodną wiadomością o podstępny napadzie na Flotę Pacyfiku, wszystko uleciało mu z pamięci.

Wydarł więc z notesu kartkę papieru i nadal siedząc na brzegu łóżka zaczął powoli pisać. Ołówek drżą w jego ręku, tak że sam z trudem odczytał napisane słowa:

„Asiatic Fleet — Priority.
Japan Started Hostilities. Govern Yourselves Accordingly.”⁵

⁴ „Pearl Harbor nalot nieprzyjacielski—to nie ćwiczenia.”

Admirał me przypuszczał w tym momencie, że ów; skrawek papieru przechowa się przez wszystkie dni wojny, ukrywany przez jednego z żołnierzy w niewoli japońskiej.

W kilka minut później Hart zatelefonował do swego szefa sztabu admirała Purnella, a podpułkownik Clement udał się z powrotem do Marsmann Building, aby powiadomić przez radio wszystkie okręty floty o wybuchu wojny.

Admirał Purnell ze swej strony udał się do sztabu armii lądowej, w którym jeszcze o niczym nie wiadano. Otrzymałą wiadomość przekazał szefowi sztabu generała Mc Arthura generałowi Sutherlandowi.

Admirał Hart przybył do budynku dowództwa floty na krótko przed czwartą. O tej godzinie wszystkie okręty były już przez podpułkownika Clementa powiadomione o wybuchu wojny. Niektóre dowiedziały się o tym wcześniej same...

⁵ Flota Azjatycka — Pierwszeństwo, Japonia rozpoczęła działania wojenne. Działajcie zgodnie i planem.

PIERWSZA WALKA PORUCZNIKA GASTONA

Na niszczycielu „John D. Ford”, noszącym we flocie numer 228, zacumowanym przy nabrzeżu portu marynarki wojennej w Cavite, służbę oficera dyżurnego pełnił tej nocy chorąży Darrah.

Był to czarny, rosły południowiec, pochodzący ze stanu Tennessee. Często o sobie mówił, że jest piątym kołem u wozu na okręcie. Nie było w tym zapewne przesady, jeżeli wziąć pod uwagę, że ze względu na stopień zajmował ostatnie miejsce przy stole w mesie oficerskiej oraz pełnił mało ważną funkcję pomocnika szefa łączności niszczyciela, porucznika Slaughtera.

Tej nocy los postąpił z chorążym Darrahem również niegodziwie. Podczas kolacji grupa oficerów podzieliła się wiadomością o odkryciu w jednej z bocznych uliczek Manili doskonałej ponoć restauracji prowadzonej przez Francuza. Postanowiono pójść do niej zbiorowo. Na służbie pozostał oczywiście znów Darrah.

Zbliżała się godzina trzecia, gdy chorąży stał na pomoście dowodzenia niszczyciela obserwując odbijające się w wodzie światła Manili. Ze smutkiem myślał, jak rzadko będzie mógł odwiedzać miasto w czasie, gdy okręt znajdzie się w remoncie na stoczni, co wkrótce miało nastąpić. Ceny w Manili były słone i pensja chorążego niestety nie bardzo pozwalała na tego typu wycieczki.

Tok owych niewesołych rozważań przerwało mu nagle gwałtowne trzaśnięcie drzwi kabiny radiowej i pośpieszny tupot nóg po korytarzu.

Po chwili posłyszał uderzenia w drzwi i podniecony głos:

— Komandorze Cooper! Komandorze Cooper! Darraha ogarnęła wściekłość. Jakakolwiek by to była depesza, radiotelegrafista powinien w pierwszym rzędzie zameldować o niej oficerowi dyżurnemu. Nawet wówczas, jeżeli byłby nim tylko chorąży, i to świeżo przybyły na okręt.

Nie zdążył już jednak nic zrobić, gdyż w tym momencie stanął przy nim komandor jeszcze ze zmierzwionymi od snu włosami, zapinający pośpiesznie guziki munduru.

— Ogłoś natychmiast alarm — powiedział — i wyjmuj z safesu kopertę z rozkazem na wypadek wojny.

„Japi” zaatakowali Pearl Harbor...

* * *

Płynęli od siedmiu godzin. Porucznik Gaston oparty o poręcz mostka kapitańskiego widział wyraźnie pozostałe dwa ścigacze. Szły nieco w tyle pozostawiając za sobą szerokie pasma spienionej wody, która jaśniała w świetle księżycy srebrzystym blaskiem.

Znajdowali się teraz gdzieś na wysokości fba. Brzegi Luzonu czerniały obco i niegościnnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie płyną zbyt szybko. Właściwie przebyli już blisko połowę drogi, nie było się więc po co spieszyć. Nie zwiększając tempa będą w ten sposób około siódmej na wysokości Aparii.

Mógłby się położyć spać, tropikalna noc była jednak zbyt piękna. Ostatecznie prześni jutro w dzień. W nudnej dziurze, jaką jest Aparii, i tak nie ma co robić.

Stał więc nadal na mostku. Przypomnił sobie podobną noc, gdy z Dolores chodzili po ogrodzie wokół jej domu w Coloxan.

W ostatnim okresie wskutek stałego niemal pobytu na morzu widywali się bardzo rzadko. Po dwóch tygodniach rozłąki spotkali się dopiero wczoraj. Dolora miała do niego żal, sądziła, że zaniedbuje ją celowo A przecież niedługo już miał odbyć się ich ślub. Śpiew na angielszczyznę prosiła go, by choć teraz poświęcił jej więcej czasu.

Wówczas przyrzekł, że przyjedzie do Coloxan na kilka dni. Dziś miał zgłosić się z raportem do dowódcy dywizjonu, a rano wyjechać. Tymczasem znów jest ni morzu.

Myśl o tym nie była wcale przyjemna. Wiedział, że Dolores jest jedną z najładniejszych kobiet w Manili Otaczał ją zawsze rój adoratorów. Jeżeli admirał Harl nie zmieni swego sposobu postępowania, Gaston może ją utracić.

— Poruczniku — usłyszał nagle przytłumiony szept Z tyłu za nim stał Morris.

— Wojna! — powiedział tylkt to jedno słowo.

— Co? Wojna? Z kim?

— „Japi” napadli na Pearl Harbor — Morris teraz dopiero podał mu trzymaną w rękę depezę. — Manils nakazuje z pełną szybkością płynąć do Aparii i wspomni tamtejszy garnizon, gdyby Japończycy chcieli spróbować wysadzić desant piechoty.

Po kilku minutach trzy ścigacze ruszyły ku północy z maksymalną szybkością, zgasiwszy uprzednio wszystkie światła.

* * *

W ukrytym na skraju dżungli namiocie było duszno i parno. Nie polepszało to zapewne humoru kapitana Avacedy, dowódcy 3 batalionu 31 pułku skautów filipińskich.

Bo też i nie miał się z czego cieszyć. Batalion jego już od ponad dwóch tygodni stał okopany na brzegach zatoki Aparii i przylądka Cap Engano, najdalej wysuniętego na północ cypla Luzonu.

„Ktoś musiał kiedyś rzucić przekleństwo na ten zapomniany przez Boga i ludzi pas ziemi” — myślał często Avaceda. Nieustanny wilgotny zaduch, od którego sucha koszula po pięciu minutach przylegała do ciała, wycie zwierząt w nocy i moskity — były jedynymi miejscowymi urozmaiceńiami. Do tego dochodził brak i broni maszynowej i artylerii, łopatek saperskich i hełmów, kiepskie przeszkolenie powołanych zaledwie trzy miesiące temu żołnierzy, których główne uzbrojenie stanowiły karabiny typu Enfield, pamiętające bitwy pierwszej wojny światowej.

Nastrojowi Avacedy nie dziwił się więc nawet jego adiutant, wesoly Raymondo Cares. Unikał tylko w miarę możliwości namiotu kapitana. Sam zaś Avaceda często łapał się na myśli, że w końcu wołałby, by Japończycy raz nareszcie zaczęli tę dawno obiecywaną wojnę. Odwróciłaby uwagę od dżungli i moskitów...

Zresztą niech flota martwi się o niedopuszczenie do brzegów okrętów japońskich.

Z tą myślą kapitan Avaceda odebrał około godziny drugiej trzydzieści telefoniczne meldunki dowódców kompanii. Nie zawierały one nic szczegółowego. Jedynie dowódca przydzielonej przed czterema dniami baterii dział 155 mm zgłaszał, że za jego pozycjami w dżungli i zapalają się jakieś światła.

„Czyżby szpiedzy japońscy?” — pomyślał. Któż inny o tej godzinie rozpaląby ogień w dżungli, i to akurat i poza stanowiskami dział stanowiącymi główną siłę ich obrony?

Schwycił słuchawkę telefonu i polecił dowódcy 2 kompanii wysłać natychmiast wzmocniony patrol w celu przeczesania dżungli w rejonie stanowisk artylerii. Sam zaś przez chwilę zastanowił się, czy nie ogłosić alarmu dla całego batalionu.

Nie było to jednak już potrzebne.

Od przylądka Engano, gdzie znajdowało się prawe skrzydło batalionu, rozległ się ogłuszający, spotęgowany echem odbijanym przez dżunglę huk pękających pocisków artyleryjskich. Wkrótce odpowiedział im ogień karabinów i serie cekaemów.

Biegając do okopu Avaceda myślał tylko o jednym: „Gdzie jest przeklęta flota, jeśli Japończycy najspokojniej mogli podплыć do brzegu? Santa Anna! Ci paniczki w białych mundurach siedzą teraz pewnie w knajpach manilskich...”

* * *

Głuchy łomot dział usłyszał również porucznik Gaston na ścigaczu S-34⁶. Pomyślał wówczas z uznaniem, że wróg jest szybki.

⁶ Ścigacze torpedowe, oznaczone były skrótem „PT” (od Patrol Torpedo), a nie „S”.

Należało mu dorównać. Ścigacze parły więc pełną szybkością ku głosom niewidzialnej walki. Wyminęły północno-wschodni cypel Luzonu i skierowały się ku cieśninie pomiędzy Aparii a wysepką Camigain. Sądząc po odgłosach tam gdzie powinna znajdować się flota „japów”.

Noc była teraz nieprzenikniona. Gaston z pomostu ledwie mógł dojrzeć idące po bokach pozostałe ścigacze. Tym czujniej więc nasłuchiwał.

Działa były znacznego kalibru. Zapewne z krążowników i niszczycieli. Niewątpliwie Japończycy przygotowywali jakąś znaczną operację. Najprzypuszczalniej desant piechoty. Nasilenie kanonady nie świadczyło, że zamierzają jedynie przerwać sen skautom filipińskim strzegącym wybrzeża...

Wkrótce S-34 zbliżyło się już na tyle, że poprzez mgłę i ciemność widać było błyski z dział „japów”. Wtedy Gaston nakazał zmniejszenie szybkości. Ścigacz nie jest bowiem podobny do rozwścieczonego byka, który atakuje wroga z szaleńczym rozpędem. Przypomina on bardziej kota skradającego się w ciszy i ciemności, by zadać śmiertelny cios z ukrycia. Noc jest jego naturalnym sojusznikiem. Posuwali się więc tak cicho, że nie czynili więcej hałasu niż poszum wiatru ocierającego się o fale. Teraz jednak stracili też łączność z S-35, na którym był Norman Morton i jego załoga, oraz z S-36 dowodzonym przez Thomasa Kerra.

We mgle i w pobliżu bitwy każdy ścigacz stawał się całością samą dla siebie. Podobnie będą musieli działać w walce. Ich kocia taktyka zmuszała do samotności.

Jedynym środkiem łączności pozostawało radio. Ale i jego z obawy przed wykryciem nie mogli używać. Nie było to na pewno dla nikogo przyjemne. Bosmanowi Stanowi Thorntonowi zdawało się, że znajduje się w zamkniętym, ciemnym pokoju, do którego co chwilę wpada światło reflektora kierujące się wprost w jego twarz. Oślepiające, bliskie już błyski dział japońskich kłuły w oczy. Po kilku sekundach zapadała ciemność jeszcze gęstsza niż uprzednio. Za moment zaś wszystko zaczynało się od nowa. Żadne oczy i uszy nie mogły przywyknąć do tego przeraźliwego chaosu nagłych, ostrych blasków i dudniącego łomotu wzmacnianego przez echa idące od ładu.

Odruchowo przymykał powieki również Gaston, lecz w pewnej chwili zdołał ujrzeć wyraźnie sylwetki okrętów prowadzących ogień. Były to niszczyciele rozrzucone w półkolu. Poza nimi z tyłu rysowały się kontury dużych statków. „Zapewne transportowce” pomyślał. Wybrał cel dla swojego okrętu. To sami uczyniły i obydwie pozostałe ścigacze.

* * *

Zespół okrętów japońskich kontradmirała Hara zgodnie z planem, około godziny drugiej w nocy, zbliżył się do brzegów północnego Luzonu.

Do przodu wysunęły się niszczyciele „Fumitsuki” „Satsuki” i „Nagatsuki”, kierując się w stronę Cap Engano. Niszczyciele „Minatsuki”, „Harukaze”,

„Hatakaze” oraz stawiacze min, numer 15, 16 i 19, podpłynęły pod brzegi zatoki Aparii.

Konradmirał Hara na lekkim krążowniku „Natori” zatrzymał się przy sześciu transportowcach z wojskiem; stojących poza linią osłonową niszczycieli, które poczęły już prowadzić ogień z dział w miejsca, gdzie według meldunków dostarczonych przez wywiad powinny znajdować się pozycje wojsk amerykańsko-filipińskich.

Sześć ścigaczy strzegło skrzydeł i tyłów floty przed napadem łodzi podwodnych. Hara obawiał się ich najbardziej. Wiedział, że admirał Hart dysponuje większą ilością tego typu okrętów, podczas gdy jego siły nawodne są bardzo nieliczne i rozrzucone na obszarze od Nowej Gwinei aż do Luzonu.

Około godziny drugiej czterdzieści do zespołu Hary dołączył się lekki krążownik „Kuma”, skierowany przez admirała Takahashi. Miał on wraz z „Natori” zniszczyć swym ogniem ciężkie działa amerykańskiej obrony wybrzeża.

Wszystko przebiegało więc zgodnie z planem.

Konradmirał czuł się zadowolony. Widok, który rozpościerał się przed nim z pomostu bojowego „Natori” był niezmiernie przyjemny. W błyskach dział niszczycieli widział ruch panujący na pokładach transportowców..

Piechota szykowała się do zajęcia miejsca w łodziach desantowych. Za niecałą godzinę powinno się już przejaśnić. Transportowce przesuną się wówczas do przodu, by wylądować żołnierzy.

Nagle myśli admirała przerwał niespodziewany widok. Z ciemności wyłonił się kształt ścigacza. Bezszelestnie zbliżył się do stojących w niedużej od siebie odległości krążowników japońskich. Gdy był już tak blisko, że prawie ocierał się o burtę „Natori”, admirała Harę ogarnęło oburzenie na jego dowódcę. Była to karygodna nieumiejętność kierować tak okrętem. Przecież ścigacz ten mógł spowodować zderzenie z cennym krążownikiem!

Hara nie zdążył już dać wyrazu swej złości.

Z pokładu „Natori” nagle zajazgotały cekaemy, a ów niedyscyplinowany okręt odpowiedział również długimi seriami broni maszynowej. Admirał usłyszał wyraźnie, jak pociski stukotały o burtę i wieżę pancerną krążownika. „Natori” z powodu bezpośredniej bliskości nie mogła otworzyć ognia z dział.

„Jankes — przemknęła Harze wówczas błyskawiczna myśl. — A więc jednak nie dali się zaskoczyć...”

* * *

Ścigacz S-34 poruszał się teraz bardziej siłą rozpędu niż obu swych silników.

W błyskach strzelających dział Gaston widział łuk niszczycieli „japów”. Dojrzał również na moment swe ścigacze. Dał wówczas znak sterownikowi Bobowi Warkowi, i S-34 wysunął się w kierunku lewego skrzydła, poza którym

ciemniały sylwetki dużych okrętów. Były to zapewne transportowce z piechotą, najcenniejszy cel dla ich torped.

Obserwując manewr ścigacza dowódcy, S-35 i S-36 skierowały się ku środkowi formacji „japów” chcąc sforsować osłonę niszczycieli w środku. Mając dłuższą drogę poruszały się szybciej. Gaston wkrótce stracił je z pola widzenia.

Podstawą manewru bitewnego ścigaczy jest skryte podejście, nagły, zaskakujący atak i błyskawiczne wycofanie się spod niszczącego ostrzału nieprzyjaciela. Każdy z marynarzy na S-34 wiedział o tej zasadzie. Na swych stanowiskach czekali teraz jedynie na rozkaz wystrzelenia torped, który mógł nadejść od dowódcy w każdej chwili. Naprężone do ostateczności nerwy domagały się, by nadszedł on jak najszybciej.

Tymczasem na długą chwilę skryła ich znów ciemność. Wykorzystując ją znaleźli się w tyle poza wybuchami i linią niszczycieli, którą wyminęli z boku. Na lewym skrzydle stał trałowiec „japów”, widocznie ich jednak nie dostrzegł. Natomiast sternik Bob Wari z przerażeniem zauważył, że idą dziobem wprost mającący tuż przed nimi wielki okręt japoński. W ostatniej chwili ostro skęcił kołem sterowym, tak że S-34 niemal otarł się o jego burzę. Bosmanów Purrisowi zdawało się, że posiadając krede mógłby na burcie „japa” wypisać swe nazwisko. Marynarz Warrei Boks widział wyraźnie skulone przy pokładowych działkach postacie Japończyków i słyszał ich głosy

W tym momencie skończyło się również zaskoczenie.

Na pokładzie okrętu japońskiego raptownie zapłonęły reflektory przesuwając się szerokim pasmem po morzu. Jednocześnie dały znać o sobie karabiny maszynowe, szybkim jazgotliwym wyciem o obcym dźwięku, którego dotąd nie znali.

Strzelcy Mathewson i Burkę rzucili się do swych cekaemów. Obaj nie byli nigdy w ogniu walki, znali jednak dobrze swe „organki”. Zarzucili z nich pokład „japa” kąśliwymi pociskami, które zagasiły światło reflektorów.

Wokół rozszalała tymczasem feeria świateł i smugowych pocisków. Niszczyciele japońskie, zdezorientowane W pierwszej chwili, rzuciły się teraz, zaprzestając ostrzeliwania wyspy, ku krążownikom i transportowcom. Noc nagle zajarzyła się dziesiątkiem pasm reflektorów, a morze stało się tak gęste od okrętów, że Gastonowi wydało się niemożliwe znalezienie nieco wolnego miejsca dla S-34.

— Zasłona dymna! krzyknął z pomostu. — Zróbcie zasłonę! Okrzyk jego powtórzył bosman Purris.

Wówczas torpedysta Cooper, znajdujący się przy tylnej wyrzutni, zrzucił z siebie krępującą ruchy kamizelkę ratunkową i skoczył do wytwornicy. Po chwili z poza rufy poczęły unosić się białe, gęste kłęby dymu. Sternik Wark natychmiast skęcił kołem, szukając oczywiście wolnej drogi na zatłoczonym morzu, a Gauton wcisnął do końca przepustnicę gazu. Oba silniki zawyły na górných obrotach i S-

34, skryty w dymie, Zygzakiem oddalił się od skupiska wrogich okrętów. W pełnym biegu wystrzelili jeszcze z tylnych wyrzutni dwie torpedy w kierunku ciemnej sylwetki mającej za „Natori”. Gaston sądził, że jest to transportowiec, Na obserwacje nie było jednak czasu. W tej samej (chwili wybuchły obok pociski krążownika. Mogły one ponieść małą łódź w drzazgi, były jednak niecelne. S-34 klucząc wydobył się już spod ostrzału.

* * *

Moment zaskoczenia we flocie japońskiej wykorzystał ścigacz Thomasa Kerra.

Gdy zabłyśły reflektory krążownika i niszczycieli, Kerr skierował swój okręt z pełną szybkością poprzez powstałą lukę ku transportowcom. Po kilku sekundach zauważył, że w pościg za nim rzucił się japoński niszczyciel, który musiał go widocznie zauważyć.

Marynarz Edwards widział błysk wydobywający się co kilkanaście sekund z dział „japa”. Następnie rozlegał się huk i po chwili z oceanu wznosił się w górę gejzer wody. Najczęściej zbyt blisko jak na gust Edwardsa.

Mat Thomas leżący na pokładzie za zasłoną cekaemu czuł wówczas, że na plecach spada mu wilgotny ciężar. Nie wiedział nawet, czy są to rozpryski wody idącej spod krającego rozkołysane morze dziobu ścigacza, czy też jej fontanny spadające w chwilę po wybuchu każdego pocisku.

Niszczyciele japońskie rozpoczęły tymczasem wokół nich szaleńczy taniec. Oślepiając się wzajemnie reflektorami, przecinając ocean całym pędem, usiłowały ogniem artylerii trafić ścigacz. Nie było to jednak łatwe. S-36 zakrył się zasłoną dymną i mknął z całą szybkością w kierunku obranego celu.

Gdy znaleźli się o niecałe 200 jardów od cielska transportowca, porucznik Kerr dał rozkaz. Mat-torpedysta Mallory wypuścił dwie torpedy. Ścigacz natychmiast skrzył i przemknął ile sił o 100 jardów przed dziobem statku „japów”.

Marynarz Conolly dostrzegł jeszcze biegające po pokładzie postacie żołnierzy japońskich, a Thomas oddał w ich stronę długą serię z kaemu.

Torpedy trafiły. Huk przeraźliwej eksplozji i syk pary ze statku japońskiego przemieszały się z grzmotem salwy ciężkich dział krążownika stojącego za transportowcem. Kerr stojąc na mostku pomyślał, że gdyby salwa ta była celna, zapewne znalazłby się w niebie wraz z całym ścigaczem.

S-36 był jednak szczęśliwym okrętem. Zasłonił się jeszcze gęściej dymem i przez lukę pomiędzy dwoma niszczycielami znów wysunął się na otwarte morze.

Kerr zobaczył natomiast w świetle reflektorów, jak okręt Gastona Wystrzelił torpedy do krążownika, wycofując się równocześnie spod ostrzału drugiego „japa”.

Po kilku minutach Kerr usłyszał wybuch i krzyk marynarzy. Krążownik japoński został trafiony.

* * *

W tym czasie S-35 porucznika Mortona toczył zacieklą walkę z dwoma japońskimi niszczycielami. Wystrzelono już bezskutecznie wszystkie torpedy.

Bosman Monty był przekonany, że z tego boju nie wyjdzie cało. Na wszelki wypadek schował nawet dokumenty do małej kieszonki w kamizelce ratunkowej. Obok niego mat Borrows skulił się za tarczą kaemu. Monty chciał krzyknąć, aby ukrył się w środku. Było już jednak za późno.

Japończyk z bliskiej odległości omiótł pokład długą serią z ciężkich karabinów maszynowych. W tym momencie Borrows poczuł tępe uderzenie w ramię. Próbował jeszcze prowadzić ogień, ale nie miał już siły cisnąć spustu. Ogarnęła go ciemność.

Morton widząc z mostku jeden niszczyciel w bezpośredniej odległości, drugi zaś zbliżający się z pełną szybkością krzyknął:

— Bomby głębinowe! Rzućcie bomby, na miłość boską! Prędej!

Mat-torpedysta Galloway rzucił się ku rufie. Wraz z nim skoczyli Osborn i Hohl. Mimo ognia zdołali zepchnąć trzy sztuki.

Bosman Monty w tym momencie obejrzał się do tyłu i zobaczył wielki słup wody unoszący się do góry. Ledwo zdążył chwycić się relingu. Ogromna fala zbiła go z nóg, zmywając równocześnie do morza rannego matę Borrowsa.

Porucznik Morton nie sądził, że bomby głębinowa uszkodzą niszczyciele. Powinny je jednak oszołomić i spowodować wrażenie, że znalazły się na polu minowym. Gdy z morza wystrzelił trzeci gejzer, Morton dostrzegł, że Japończycy raptownie zmienili kurs i wstrzymali ogień. A więc nie pomylił się...

— Pełna szybkość!... Zasłona dymna!... — wołał przez szum fal.

Mat-motorzysta Parker weisnął do końca przepustnicę zmuszając oba silniki do maksymalnego wysiłku, S-35 zdołał się odsunąć od swych prześladowców.

Mortonowi przyszedł do głowy jeszcze jeden szczęśliwy pomysł. Chodziło o to, by „japi” uwierzyli, że natrętny ścigacz zatonął na minie.

Zbiegł z mostku na rufę. Skuleni za generatorem, stali tam Osborne i Hohl. Przy ich pomocy przerzucił generator za burłę. Po chwili oba niszczyciele zbliżyły się do miejsca, gdzie zanurzony w wodzie generator nadal wytwarzał dym. Przez dłuższy czas krążyły wokół. Na ich pokładach oficerowie zacierali ręce z radości. Byli przekonani, że uparty ścigacz jest już na dnie.

S-35 tymczasem był już daleko. Stracił jednak swą ważną broń — osłonę dymną. Nie miał także torped. Trzeba było przerwać walkę i wycofać się.

* * *

„Trzeba przerwać walkę i wycofać się” — pomyślał również dowódca zespołu porucznik Gaston na S-34. Bitwa przeciągała się, a niebo na wschodzie już

jaśniało. Gaston wiedział, że dzień zapada na tych szerokościach geograficznych niemal raptownie; a za dnia byłiby bezbronni wobec ogromnej przewagi Japończyków. Czas było wracać.

Jego rozkaz przekazał radiotelegrafista Teddy Johnston. Nareszcie miał coś do roboty. Po raz pierwszy dopiero użyli radia.

Trzy ścigacze ruszyły powoli i ostrożnie pod osłoną brzegu ku południowi.

* * *

Admirał Hara nieprędko się uspokoił.

— Przekleci jankesi — złorzeczył nie odrywając oczu od lornety, przez którą cały czas śledził przebieg walki.

Było już jednak za późno na narzekanie. „Nuguro Maru” tonęła, a niszczyciele ratowały jej załogę i żołnierzy piechoty. Wycofywał się również w otoczeniu dwu ścigaczy uszkodzony torpedą krążownik. Widok ten rozwścieczył Harę jeszcze bardziej. Należało koniecznie schwytać i zniszczyć amerykańskie ścigacze podczas odwrotu. Tylko to mogło go zrehabilitować w oczach admirała Takahashi.

Hara skinął ręką na swego szefa sztabu i wydał odpowiednie polecenia...

Teraz trzeba było śpieszyć się z rozpoczęciem operacji desantowej, której przeskodziły beczelne ścigacze. Morze robiło się coraz burzliwsze, a dla Amerykanów w każdej chwili mogła nadejść pomoc. Znow więc wysunęły się do przodu niszczyciele i otworzyły szybki ogień na brzeg wyspy.

Tym razem jednak przesyłały ich nie dodawały już otuchy żołnierzom wsiadającym do łodzi desantowych. Wielu z nich kampania filipińska, którą lekceważyli jeszcze przed kilku godzinami, teraz wydawała się bardzo trudna do przeprowadzenia.

* * *

W pewnej chwili Gaston zauważył przez lornetkę dwa stawiacze min i trzy ścigacze japońskie. Stanowiły one zapewne osłonę skrzydła floty inwazyjnej, obok której przeszli w nocy nie zauważeni. Być może, że Hara wysłał je umyślnie w pogoń...

W każdym razie droga była zablokowana. Musieli się jak najszybciej ukryć.

Tego samego zdania był i porucznik Kerr. Nie pozostało im nic innego, jak zgasić silniki, skryć się przy brzegu i modlić o to, by „japi” ich nie dostrzegli. Nie mieli już bowiem na żadnym ścigaczu ani jednej torpedy, by próbować się przebić. Szczęście nie opuszczało ich jednak do końca. Około godziny ósmej zobaczyli z ukrycia nadlatujący z południa zespół samolotów. Miały chowane podwozia, były to zatem maszyny amerykańskie.

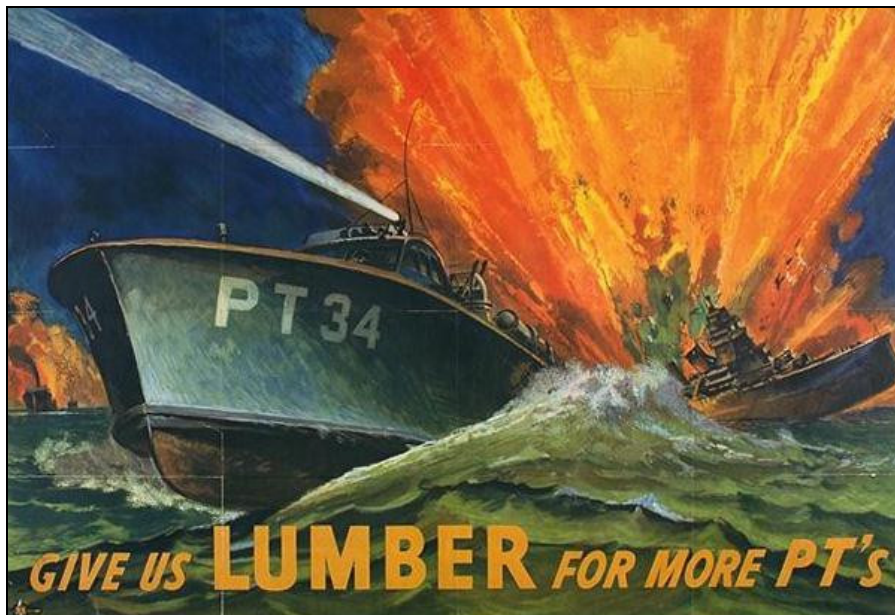
Gaston odetchnął z ulgą. Równocześnie pierwsza trójka zniżyła się i zaatakowała stawiacze min. Z morza znów trysnęły gejzery wody.

Walka trwała zaledwie kilka minut Ścigacze japońskie i jeden stawiacz min klucząc uciekały w panice, ku siłom głównym. Drugi stawiacz, trafiony najwyraźniej bombami, tonął. Marynarze amerykańscy mieli wolną drogę.

Z wdzięcznością patrzyli w niebo. Nie widzieli tylko, że po raz ostatni widzą własnych lotników. W okresie, który nadchodził, mieli oglądać już tylko samoloty z czerwonym kołem na skrzydłach...



US Patrol Torpedo Boat PT.34 of Motor Torpedo Boat (MTB) Squadron 3, 1941



WW2 poster.

WSCHODZĄCE SŁOŃCE NAD CAVITE

Ścigacz S-31 pod dowództwem porucznika Connolly’ego stał przy burcie trałowca w małym rybackim porcie w Marivelles na wybrzeżu Bataanu. Uzupelniano zapas słodkiej wody i żywności, gdy radio zapowiedziało, że z kierunku Formozy zbliża się zespół samolotów japońskich.

S-31 natychmiast zrzucił liny cumujące go do okrętu i z kaemami wycelowanymi w niebo wypłynął na otwarte morze.

Po chwili Connolly mógł już dojrzeć „japów”. Lecieli tak jak na defiladzie w ciasnych, zwartych grupach, na wysokości około 20 000 stóp. W każdym z zespołów było po 27 lub 29 pięknych, nowoczesnych dwusilnikowych bombowców.

— Damned! Nie będą tak ładnie wyglądali, gdy nasi myśliwcy dobiorą się im do skóry — powiedział Connolly do bosmana Stine’a. — Ale gdzież tkwią ci przekłeci piloci? Powinni już dawno być w powietrzu.

O tym samym myślał Bulkeley, dowódca dywizjonu. Wraz z dwoma ścigaczami znajdował się w drodze z Corregidoru do Cavite. Z tej odległości nie mógł dokładnie obserwować przebiegu bombardowania, w każdym razie widział, jak „japi” spokojnie, niby na ćwiczeniach, bez żadnych przeszkód zataczali koła nad portem w Cavite. Po każdym takim okrażeniu tryskały z ziemi słupy dymu i ognia.

Bulkeley nie mógł poświęcić dużo czasu obserwacji. Musiał wrócić do swoich zajęć.

Pięć nurkujących bombowców, oderwało się od formacji i leciało prosto na nich. Ścigacze natychmiast poczęły poruszać się po skomplikowanym kluczącym kursie. Chodziło o to, aby uniknąć spadających bomb dając równocześnie możliwość strzelcom kaemów prowadzenia ognia do samolotów.

Bulkeley zapamiętał chłodną, zaciętą twarz mata Ghalkera, młodego chłopca z Teksasu, obsługującego prawoburtowy cekaem. Gdy „jap” zniżył się, w tyra samym momencie zajazgotały przeciągle obydwu kaemy. Strzelali równocześnie Chalker i Hoolicon.

Bulkeley odruchowo wtulił głowę w ramiona. Gdy podniósł ją, dojrzał, jak „jap” powtórnie pionowo wzbij się w górę. Pogoniła za nim jeszcze jedna długa seria Chalkera. Wówczas samolot niczym ranny gołąb wstrząsnął skrzydłami i dymiąc spadł z dzikim wyciera do morza w odległości około mili od nich.

Prawie w tym samym momencie udało się sąsiedniemu ścigaczowi porucznika De Longa ściągnąć drugiego Japończyka. Odebrało im to najwyraźniej ochotę do prób ataku lotem koszącym. Wzbili się wysoko, rzucili jeszcze trzy niecelne bomby i zrezygnowali z zamiaru zatopienia małych, ale złośliwych okrętów.

Chalker, ocierając twarz pokrytą sphywającym z czoła potem, powiedział wtedy: „Mam nadzieję, że po powrocie szepną słówko swoim kolegom na Formozie aby byli nieco ostrożniejsi”.

* * *

Takie szczęście nie dopisywało w tym czasie niszczycielowi „John D. Ford”. Stał on w doku w Cavite oczekując na konieczny remont, który miał być dokonany w przyspieszonym tempie.

Około południa nad port nadleciało około 50 samolotów nieprzyjacielskich. Uprzednio zatoczyły kilkakrotnie nad miastem, na wysokości około 20 000 stóp, łagodne koła, nie przejmując się zupełnie obecnością w powietrzu paru samolotów amerykańskich. Później, gdy wybrały już cele, spokojnie rozpoczęły bombardowanie. Nie przeszkadzał im w tym zupełnie ogień trzycalowych dział przeciwlotniczych z Corregidoru. Pociski ich bowiem wybuchały o 5000 do 10 000 stóp poniżej pułapu, na którym znajdowały się samoloty...

Odczuł to niszczyciel „John D. Ford”. Wokół otoczyły go słupy wody wzniesione przez wybuchające bomby. Jego dowódca komandor Cooper nakazał wówczas wyjść w morze. Z trudem precyzyjnie się przez zatłoczony barkami i statkami port, cudem unikając bomb japońskich.

Na pewno nie było to przy tym zasługą głównego mechanika Spencera, jakkolwiek natychmiast, gdy tylko dostrzegł pierwsze samoloty, skoczył do jednego na okręcie trzycalowego dział przeciwlotniczego. Jego pociski nie dochodziły do „japów”. Poza tym innych dział przeciwlotniczych w całym Cavite nie było.

Klucząc po zatoce „John D. Ford” przeczekał więc do zmroku. Gdy zapadła noc, pośpiesznie uzupełnił zapasy amunicji oraz żywności i wysliznął się z portu w kierunku Jawy. Był pierwszym okrętem Floty Azjatyckiej opuszczającym Filipiny.

Wyjście z portu oświetlały mu pożary. Jedna trzecia miasta stała w ogniu. Widoku tego marynarze z niszczyciela nie zapomnieli nigdy...

Nie zapomniał go również Bulkeley, gdy obydwaj jego ścigacze około czwartej po południu wpłynęły do portu w Cavite.

Już ruiny i pożary wywarły na nich przytłaczające wrażenie. Najpotworniejszy był jednak widok setek rannych szukających bezradnie pomocy i zwały trupów na nadbrzeżach, tam gdzie nalot zaskoczył robotników portowych spożywających posiłek.

Pierwszym obowiązkiem było nieść ratunek ludziom!

Oba ścigacze wymijając wraki przystąpiły natychmiast do przewożenia rannych do szpitala w Canacao. Wraz z nimi kursowały z takim samym ładunkiem wszystkie ocalałe barki i holowniki.

Porucznik De Long zapamiętał wówczas najwyraźniej ze wszystkiego molo w Canacao. Było zalane krwią. Wynosząc rannych z trudem utrzymywali się na śliskie; powierzchni.

Gdy powrócili z trzeciej z kolei tury, Cavite nadal było jednym morzem ognia. W płomieniach stał cały rejon bazy marynarki wojennej i znaczna część miasta. Przy nadbrzeżu zatrzymał ich wysokiego wzrostu oficer w podartej i skrwawionej koszuli. Był to admirał Rockwell, dowódca bazy, który dotychczas na czele drużyn przeciwpożarowych zwalczał ogień rozszerzający się na coraz to nowe budynki.

Admirał nakazał obu okrętom natychmiast wyjść z powrotem na morze. Głuchym głosem wyjaśnił, że w każdej chwili mogą wylecieć w powietrze wielkie magazyny amunicji i torped. Wtedy Bulkeley zaproponował mu, by odплыł wraz z nimi do Marivelles. Admirał odmówił.

Wówczas odплыли. W zamieszaniu jednak zagubił się ścigacz De Longa. Później okazało się, że pozostał; w Cavite.

Załoga jego wraz z marynarzami amerykańskimi, żołnierzami i robotnikami filipińskimi broniła całą niemal noc od ognia magazynów amunicji. Uratowano w ten sposób od strasznego zniszczenia to, czego nie niszczyły dotąd bomby japońskie. Dużo jednak było zabitych.

Poparzeni przez ogień marynarze ze ścigacza De Longa pomagali z kolei grzebać trupy. Pozostawienie powiem na dłuższy okres ciał w tropikalnym słońcu groziło wybuchem zarazy.

Zaduch był tak potworny, że ludzie, nawet najodporniejsi, nie mogli się powstrzymać od wymiotów. Wówczas Rockwell kazał wydać wszystkim duże porcje mocnej ryżowej wódki. Oszołomieni alkoholem, na drżących ze zmęczenia nogach, marynarze przenosili ciała do wspólnych grobów. Najczęściej jednak były to tylko pojedyncze członki — nogi, ręce, głowy lub straszliwie pokaleczone korpusy.

Policzyć zabitych było bardzo trudno. Jednakże De Long stwierdził, że było ich z pewnością znacznie więcej niż tysiąc. Poczul się do głębi wstrząśnięty tą olbrzymią liczbą ofiar podczas jednego nalotu, który nie trwał nawet godziny.

Gdzie było ich lotnictwo? Co to wszystko miało oznaczać? Czyż nie mieli na Luzonie ponad 150 samolotów, w tym większość myśliwców?

Czy może ktoś stchórzył i zakazał im wystartować, pozwalając „japom” spokojnie dokonać masowego morderstwa?

* * *

Odpowiedzi na to pytanie De Longa mógłby zapewne udzielić kapitan Mc Spadden. Jediną przeszkodą było to tylko, że nieprzytomny już od kilkunastu godzin leżał w szpitalu wojskowym, znajdującym się w skalnym korytarzu na wysepce Corregidor.

Gdy o godzinie dziesiątej piętnaście admirał Hart otrzymał z Waszyngtonu oficjalne polecenie zrealizowania planu wojny z Japonią, pogoda uległa poprawie.

Z lotnisk Formozy wystartowały 192 samoloty 11 japońskiej Floty Powietrznej z celem zadania niszczącego ciosu amerykańskim siłom powietrznym na Filipinach.

W tym czasie samoloty z lotnisk Clark Field, Nichol i Nilson Field znajdowały się już w powietrzu. Bombowce z Aparii toczyły walkę z flotą inwazyjną, która rozpoczęła pierwsze lądowania na północnym Luzonie z wyraźnym zresztą zamiarem opanowania tego lotnisk. To właśnie te samoloty widział porucznik Gaston powracający ze swym zespołem z nocnej bitwy...

Na lotniskach Clark i Nichols alarm ogłoszono o godzinie ósmej trzydzieści. Kapitan Mc Spadden czuł się o tej godzinie jeszcze nieco zmęczony. Z nocnego zwiedzania Manili powrócił dość późno. Wiadomość o wybuchu wojny z Japonią zastała go na lotnisku. Od tej chwili nie zmrużył nawet oka...

Gdy nadszedł rozkaz startu, siedział już w kabinie swego samolotu. Cała jego eskadra była w pełnej gotowości bojowej.

Później przez blisko dwie godziny, aż do wyczerpania paliwa, patrolowali obszar powietrzny na zachód i północ od Manili. Nie natrafili na żaden ślad Japończyków. Uspokojeni tym, wylądowali na resztkach benzyny po godzinie dziesiątej na lotnisku.

Niektórzy piloci wyszli z samolotów, by odpoczną przy kieliszku ginu w mesie. Mc Spadden po nocne birbantce odczuwał jednak pewne wyrzuty sumieniu pozostał więc w kabinie samolotu i to samo poleci zrobić pilotom swej eskadry.

Tymczasem samoloty japońskie zaatakowały już małe wojskowe lotnisko w Buguiu na północy Luzonu. Żadna wiadomość o tym nie nadeszła jednak do Clark i Nichols. Nie zgłosiły o przelocie Japończyków również placówki obserwacyjne na wybrzeżu i jedyna stacja radarowa znajdująca się w pobliżu Aparii.

Łączność w tym decydującym momencie zawiodła; należało to przypisać bałaganowi panującemu w armii amerykańskiej.

Zespół japoński, który w tym czasie podzielił się na dwie zasadnicze grupy, o godzinie dwunastej czterdzieści pięć znalazł się ponad Clark, Nichols i Nilson Field oraz dwoma mniejszymi wojskowymi lotniskami. Wszystkie samoloty amerykańskie z wyjątkiem dwóch znajdowały się wówczas na ziemi. Nie zdążono przy tym nawet ogłosić alarmu.

Gdy komandor Mc Spadden zauważył bombowce japońskie, było już za późno. Nie zdążył nawet uruchomić silnika...

Usłyszał natomiast jęklive dźwięki uderzających o blachę samolotów pocisków z karabinów maszynowych. Wówczas spróbował rozpiąć pasy, przywiązujące go do siedzenia. Nie było to łatwe.

Gdy oswobodził się z nich i chciał wyjść, w uszach zadudnił mu huk wybuchającej bomby. Samolot podskoczył do góry, a Mc Spaddenowi wydało się,

że uniósł się przynajmniej na czterdzieści stóp w powietrze. Później usłyszał tylko trzask łamiących się skrzydeł i pękającego kadłuba. Ogarnęła go ciemność.

Odzyskawszy przytomność począł się czołgać w stronę „budynków. Próbował zawołać sanitariuszy. Nie wiedział jeszcze, że ma zranioną odłamkiem lewą połowę twarzy i nie może wydobyć z siebie głosu. Zresztą i tak nikt nie przyszedłby mu z pomocą. W ciągu więcej niż pół godziny na lotnisku panował popłoch. Japończycy bez Radnego oporu ze strony Amerykanów, krążąc tuż nad ziemią, kolejno niszczyli samoloty.

* * *

O tym, co wydarzyło się na Clark Field owego poranka, dowiedział się dokładnie admirał Hart. Taki sam przebieg miał nalot japoński i na innych lotniskach Luzonu.

Amerykańskie lotnictwo na Filipinach w wyniku jednego, zdecydowanego uderzenia, które nie trwało dłużej niż godzinę, przestało praktycznie istnieć. Na ziemi zniszczono trzecią część samolotów myśliwskie i połowę bombowców. Wśród pozostałych większość była uszkodzona.

Stało się zatem to, czego Hart obawiał się najbardziej: flota straciła osłonę powietrzną.

Admirał już uprzednio zdawał sobie sprawę, że siły powietrzne, jakimi dysponowali na Filipinach, są znacząco słabsze od japońskich. Jednakże tak jak generał Mc Arthur sądził, że korzystając z gęstej sieci punktów alarmowych będzie można zapewnić niezbędne minimum ochrony lotniczej wojskom lądowym i flocie.

To, co się stało, pozbawiło go jednak wszelkich złudzeń. Byli bezbronni wobec wroga w powietrzu. Te same błędy, co na Hawajach: nadmiar pewności siebie i lekceważenie przeciwnika spowodowały klęskę, jakiej nikt nigdy się nie spodziewał.

Gdy następnego dnia stał na dachu Marsmann Building, obserwując nalot Japończyków na Manilę i Cavite nie dziwił się. Była to logiczna kontynuacja dzieła zniszczenia w dniu poprzednim.

W jego oczach ginęła ostatnia baza floty amerykańskiej na Pacyfiku, której nie miał kto bronić z powietrza.

Umilkły już działa na Corregidorze i zaciął szum samolotów japońskich, a admirał nadal stał z lornetką przy oczach, jakby chciał przeniknąć gęstą zaporę dymów. Zszedł dopiero wówczas, gdy kontradmirał Pumell ujął go delikatnie pod ramię.

Był załamany zupełnie. Zbyt dużo ludzi ginęło przez bezmyślność nieudolnych dowódców i krótkowzroczność polityków businessmanów z Waszyngtonu.

11 grudnia złożył mu meldunek kontradmirał Rockwell, dowódca bazy w Cavite. Oświadczył, że pożary szalejące od dwu dni w porcie i w mieście są nie do pokonania. Ponadto zniszczone zostały bombami elektrownia, warsztaty naprawy okrętów i torped, magazyny części zamiennych, żywności i paliwa, stacja radiowa, budynki dowództwa i koszary, zatopione liczne holowniki i barki obsługujące port.

Po naradzie admirał Hart wydał decyzję zlikwidowania bazy w Cavite. To, co pozostało z amunicji i bezcennych części zapasowych do okrętów, polecił ewakuować na Corregidor i do portu w Marivelles. Uszkodzoną stację krótkofalową i składy materiałów pędnych polecił ukryć w dżungli na przylądku Langley. Skutki nalotu japońskiego były ogromne. Zniszczenie Cavite i śmierć wielu marynarzy obsługujących babę — to nie wszystko.

Zatopiona została łódź podwodna „Sealion” i trałowiec „Bittern”. Ciężko uszkodzono łódź podwodną „Seadragon”. Uszkodzony był również niszczyciel „Peary”, któremu bomba w dwóch miejscach złamała przedni maszt.

Nie była to jednak ostatnia klęska. Katastrofa szła za katastrofą...

Przez cały tydzień ostatnie „Cataliny” kapitana Wagnera z 10 Skrzydła Rozpoznawczego prowadziły, współdziałając z okrętami, patrolowanie morza i wybrzeży. Piloci byli skrajnie wyczerpani, gdyż wskutek braku samolotów i częstych, mylnych informacji niemal bez przerwy znajdowali się w powietrzu. E Dnia 12 rano komandor Gray został zawiadomiony, że zespół lotników japońskich płynie wzdłuż wybrzeża Luzonu. Jego łodzie latające wystartowały natychmiast na poszukiwanie.

Po niemal trzygodzinnym locie „Cataliny” z resztkami benzyny w zbiornikach i śmiertelnie zmęczonymi załogami wyruszyły w powrotną drogę.

Zespołu japońskiego nie odnalazły. Informacja i tym razem widocznie była fałszywa.

Natomiast gdy płatowce opuszczały się na wodę, zaatakowały je niespodziewanie podążające za nimi w ukryciu japońskie myśliwce typu „Zero”.

Wszystkie amerykańskie samoloty zostały zniszczone. W ciągu niecałych piętnastu minut Flota Azjatycką straciła ostatnie samoloty rozpoznawcze. Teraz została już nie tylko bezdomna, ale i ślepa...

OSTATNIA WALKA S-38

Pierwsze dni wojny wykazały, że Japończycy są zdolnymi uczniami Hitlera. Skuteczne przeprowadzenie ofensywy, powietrznej spowodowało, tak jak w Polsce i we Francji, zniszczenie lotnictwa amerykańskiego oraz zlikwidowanie znaczenia Cavite jako bazy floty. Stanowiło to dla admirała Takahashi i generała Hommy sygnał do rozpoczęcia szeroko zaplanowanych operacji desantowych, a w dalszej kolejności likwidacji oporu wojsk filipińsko-amerykańskich.

Po pierwszym tygodniu walk Japończycy usadowili się mocno na północy Luzonu, gdzie przekształcili dawne lotnisko amerykańskie w Aparii w główną bazę własnych bombowców i myśliwców. Przy ich wsparciu oraz pomocy floty od strony morza tak zwany oddział Tanaki, w sile niepełnej dywizji, przedzierał się ku południowi przez słabo zaludniony, górzysty i pokryty dżunglą teren północnego Luzonu. Opór marszowi Japończyków stawiały jedynie słabe osłonowe oddziały filipińskie, cofające się do głównych sił skupionych w środku wyspy.

Generał Mc Arthur, dowódca sił lądowych, zdawał sobie sprawę, że posiadając zaledwie dwa niepełne i niedostatecznie uzbrojone korpusy, których stan nie przekraczał 50 000 żołnierzy, nie będzie mógł sprostać zadaniu obrony całego terytorium Luzonu. Oparł zatem swój plan obrony na skupieniu całego wysiłku w niedopuszczeniu nieprzyjaciela do strategicznie ważnego rejonu południowego wschodu wyspy, wokół zatoki manilskiej i przylądka Bataan,

W tym celu II korpus generała Parkera zajął stanowiska Obronne na południowy zachód od Manili na przylądku Batangas osłaniając ją z tego kierunku. korpus, dowodzony przez generała Wainwrighta, skupił natomiast swe siły w rejonie zatoki Lingayen wcinającej się w ląd w połowie wschodniego wybrzeża Luzonu oraz na pozycjach na północ od Manili.

W ten sposób stworzony został pierścień obronny, wokół południowej części wyspy, gdzie skupione były najważniejsze obiekty wojskowe: lotniska wojskowe, porty w Manili i Cavite oraz magazyny amunicji w Fort Stotsenberg i Camp Murphy.

Admirał Hart i generał Mc Arthur przewidywali przy tym, że Japończycy będą starali się wziąć ten rejon obronny w szczypcę od południowego zachodu i północnego wschodu. Dopomagało im w tym istnienie dwu dogodnych do przeprowadzenia operacji desantowych zatok: Lamon i Lingayen na północny wschód.

Główny kierunek natarcia japońskiego przewidywana od strony zatoki Lingayen, od której na północ Japończycy zajęli 11 grudnia port Vigan i utworzyli tam lotnisko wojskowe,

Dalszą ofensywę japońską jak zwykle poprzedziła przygotowanie lotnicze. W dniu 18 grudnia 20 bombowców i 80 myśliwców z lotnisk w Aparii i Vigan zaatakowało stanowiska wojsk filipińsko-amerykańskich na wybrzeżach zatoki Lingayen.

Następnego dnia główne siły floty admirała Takahashi wypłynęły z baz na Pescadorach, osłaniając potężny konwój składający się z 80 transportowców. Od strony Półwyspu Malajskiego w stronę Luzonu skierował się również zespół admirała Kongo w składzie 2 pancerników oraz 3 ciężkich krążowników. Konwój japoński, któremu podczas drogi przeszkadzało jedynie wzburzone silnie morze, dotarł do zatoki Lingayen 21 grudnia i usiłował wpłynąć w szeroką deltę rzeki Aringai. Zamiar ten jednak nie powiódł- się i flota japońska została zaatakowana w zatoce przez amerykańskie okręty podwodne „Stingray”, „Sauri”, „Salmon”, S-40 i S-38⁷.

Okręt S-38, dowodzony przez porucznika Chaplera, zatopił stawiacz min „Hayo Maru”⁸, ledwie przy tym uchodząc przed ciężkim atakiem bombami głębinowymi. „Seal” posłał na dno transportowiec „Hayataka Maru”⁹. W tym samym czasie baterie nadbrzeżne zniszczyły okręt-bazę wodnopłatowców „Sanuki Maru”¹⁰.

Atak amerykański nie przeszkodził bardzo silnemu zespołowi japońskiemu w wykonaniu desantu. O godzinie drugiej w nocy, po długotrwałym przygotowaniu artyleryjskim, oddziały 48 dywizji wylądowały na przylądku San Fernando. Jednakże lądowanie było przeprowadzone tak nieudolnie, że Japończykom nie powiodło się przewiezienie na brzeg artylerii. Trudne położenie rozwiązało dopiero natarcie w kierunku San Fernando od północy, przeprowadzone przez siły z Vigan.

I korpus generała Wainwrighta musiał obecnie rozpocząć odwrót na południe w kierunku półwyspu Bataan, osłaniając równocześnie lewym skrzydłem wschodnie jego wybrzeże i następną z kolei zatokę Subic, gdzie Japończycy w każdej chwili mogli przeprowadzić lądowanie. Przez całą noc 24 grudnia wojska filipińsko-amerykańskie pospiesznie cofały się przekraczając rzekę Agno, aby przed Japończykami zająć obronną pozycję na linii La Paz—Zaragoza—Carmen.

Została ona obsadzona w dniu 28 grudnia. Marsz odwrotowy był niezwykle trudny ze względu na teren. Szczególnie ciężkie straty poniosły przy tym oddziały cofające się z północnego Luzonu, którym zagrażało odcięcie przez Japończyków.

⁷ Okręt podwodny klasy S (S-class submarines, nazywane często S-boats).

⁸ Hayo Maru (5445 ton), zatopiony przez USS S-38 (SS-143) 22 grudnia 1941.

⁹ Hayataka Maru (856 ton), zatopiony przez USS Seal (SS-183) 22 grudnia 1941.

¹⁰ Sanuki Maru (7189 ton), mieścił na pokładzie 8 wodnosamolotów Type 95 Kawanishi E8N „Dave” i 4 wodnosamoloty Type 0 Aichi E13A1 „Jakes”.

Od strony wschodniego wybrzeża Japończycy stale usiłowali wysadzić na tyły znajdujących się w odwrocie wojsk filipińskich małe oddziały desantowe, mające za zadanie wykonywać zapory na drogach, niszczyć mosty, powodować dezorganizację i panikę. Była to ich ulubiona taktyka, skutecznie wypróbowana na Malajach.

W tych warunkach głównym zadaniem floty admirała Harta była osłona od strony morza skrzydła wojsk znajdujących się w odwrocie.

Czyniły to przede wszystkim ścigacze i łodzie podwodne.

* * *

S-38 jest szczęśliwym okrętem... Tak twierdził przynajmniej bosman Kelly, ilekroć cało i zdrowo powracali z rejsu do Manili.

Co prawda ani Kelly, ani nawet dowódca okrętu, porucznik Chapler, nie wyobrażali sobie jeszcze przed, kilkunastu dniami, że pobyt w porcie może w ogóle w ten sposób wyglądać...

Po zniszczeniu Cavite również i Manila, nad którą niemal cały dzień bezkarnie krążyły samoloty japońskie, nie dawała schronienia okrętom.

Okręt-baza okrętów podwodnych „Canopus”, całkowicie przykryty siatkami maskującymi, stał w jednym z doków w pobliżu bulwaru nadbrzeżnego.



USS Canopus (AS-9) wraz z 17 Dywizjonem Okrętów Podwodnych, Guam, 29 sierpnia 1924 r.

Okręty podwodne po powrocie z rejsów przez cały dzień leżały zanurzone na dnie i jedynie w nocy podpływały do niego, aby uzupełnić zapasy żywności, wody i torped.

„Temu trybowi życia nie brakuje podniet” — twierdził jowialny kapitan „Canopusa” komandor Sackett. Zdania jego jednakże nie podzielały załogi okrętów! podwodnych.

Przebywanie przez szereg godzin w dusznym zanurzonym okręcie nie było dla marynarzy odpoczynkiem. Toteż porucznik Chapler nie bronił się przed Wysyłaniem ich na patrole.

Pobyt w Manili uważał, podobnie jak dowódcy innych okrętów podwodnych, jedynie za konieczne zło, ale Manila była również źródłem informacji. „Wiedzieć, co piszczy w trawie, to połowa gwarancji na wyniesienie cało głowy z tej przeklętej wojny” — mawiał jego pierwszy oficer, wesóły O’Hara. Zbierali więc okruchy wiadomości o prawdziwym położeniu wszędzie, gdzie się dało, uzupełniając je własnymi spostrzeżeniami.

Jedne i drugie nie były jednak pocieszające.

Niewątpliwie sytuacja była krytyczna. Z przytłaczającej przewagi Japończyków na morzu zdawali sobie sprawę już przedtem, ale przecież na pomoc miała nadejść im ze swymi pancernikami i krążownikami Flota Pacyfiku z Pearl Harbor...

Stanowczo za długo kazali na siebie czekać... Przecież jeden nalot „japów” nie mógł ich unieruchomić... Oni tu na Filipinach od pierwszego dnia wojny przeżywali po kilka nalotów dziennie i mimo to walczyli.

Bosman Kelly nie lubił szczególnie, gdy żołnierz wojsk lądowych, owi pogardzani przez marynarzy „zające”, złośliwie zapytywali: „Gdzież tkwią te wasze przeklęte okręty?” Zapomniał, że gdy bomby niemal nieustannie leciały im na głowy, wypytywał w ten sam sposób o własne samoloty...

A jednak okręty mimo ogromnej przewagi Japończyków robiły, co mogły. Dzięki nim cofająca się armia miała zabezpieczone skrzydła od strony morza.

Również teraz na polecenie admirała Harta szli wraz z S-40 z pomocą skautom filipińskim, których zespół okrętów japońskich ogniem artylerii spychał od brzegu przy wkraczaniu na Bataan.

Z Manili odpłynęli o zmroku.

Gdy S-38 przygotowywał się do wyjścia w morze po uzupełnieniu zapasu torped, ktoś zauważył sylwetkę dziewczyny stojącej na nabrzeżu. Wiatr idący od góry środka wyspy bawił się jej szeroką spódnicą. „Popatrzcie dobrze, chłopcy — zawołał wówczas O’Hara — nie wiadomo, kiedy znów ujrzemy kobietę.”

Przez zatokę płynęli na powierzchni wykorzystując osłonę tworzoną przez Corregidor i Bataan.

Chapler i O’Hara stali na pomoście kiosku. Nad ich głowami przelatywały wielkie albatrosy o skrzydłach rozpiętości ponad 8 stóp. Obok w powietrzu

błyskały gromady ryb latających. Przy ich świetle można by z biedą odczytać parę zdań z gazety, gdyby gazety jeszcze ukazywały się.

Po wyminięciu Marivelles, gdy wyszli na otwarte morze, Chapler dał rozkaz zanurzenia.

Marynarze pod pokładem mieli dobrą rutynę po wielu miesiącach szkolenia i czterdziestu dniach wojny. Biegiem rzucili się na swoje stanowiska. Każdy miał w tej chwili jakiś obowiązek do wypełnienia. Nawet kucharz.

Wkrótce do pomieszczenia kontrolnego zaczęły napływać kolejne meldunki telefoniczne.

— Przedział torpedowy gotowy do zanurzenia.

— Przedział maszynowy gotowy do zanurzenia. Wówczas Luis Baxter, oficer zanurzeniowy, wydał rozkaz: „Ogłosić alarm”. Przez wnętrze okrętu przebiegł dźwięk syreny. Było to równocześnie ostatnie ostrzeżenie dla znajdujących się na zewnątrz.

Do wnętrza wsunęli się dwaj marynarze z pokładu. Ostatni, tak jak nakazuje regulamin, zszedł dowódca.

Wtedy rozległy się dalsze rozkazy. „Otworzyć zawory głównych komór balastowych!” „Otworzyć zawory tylnych komór balastowych!” wreszcie ostatni rozkaz, na który wszyscy oczekiwali: „Zanurzyć okręt!”

Syrena znów zawyła i po chwili zrobiło się całkiem cicho. Silniki Diesla umilkły, zastąpiły je motory elektryczne.

— 50 stóp — mruknął Chapler — wystarczy. — Głębsze zanurzenie się ze względu na liczne podwodne rafy koralowe i skały było niebezpieczne.

Droga nie nużyła nikogo. Chapler bez przerwy obserwował powierzchnię morza przez peryskop. Niedaleko już powinny znajdować się osłonowe okręty strzegące skrzydeł zespołu japońskiego. Równocześnie przysłuchiwał się rozmowom prowadzonym przez marynarzy.

Im bardziej czuli się samotni i odcięci od kraju, tym więcej zajmował on miejsca w ich myślach.

Mówili o swych domach, miastach, rodzinach. Sprzeczali się, czy Kalifornia jest lepsza od Teksasu lub Minneapolis od Brooklynu. Przypominali sobie ostatnie dni przed wybuchem wojny spędzone na lądzie, poznane dziewczyny i dobre knajpy, z jakich słynęła Manila.

O przyszłości nie mówili prawie wcale. Woleli o niej nie mówić.

* * *

Żadnych wątpliwości, jeśli idzie o przyszłość, nie miał natomiast kapitan Avaceda.

Batalion jego już od 14 dni znajdował się w nieustannym odwrocie. Zapoczątkował go desant na wybrzeżu pod Aparii. Stawiali wówczas opór

„japom” mimo nieustannego ognia artyleryjskiego przez 8 godzin. Jak dotychczas, był to ich najdłuższy postój na jednym miejscu w tej wojnie...

Później rozpoczął się odwrót przez dżungle północnego Luzonu.

Niosąc na ramionach karabiny, które nieznośnie uwierały przez przepocone bluzy, żołnierze wyszukiwali mniej zarośnięte miejsca. Czasami był to jakiś zagajnik palmowy. Niekiedy jednak, w najgęstszych miejscach, tracili godziny, by posunąć się zaledwie o kilkaset stóp. Cięli wówczas maczetami poszycie z bluszczu, paproci, dzikich drzew bananowych, karłowatych palm i jakichś krzaków. Często zdarzało się jednak, że gdy ścieżka była już wyrębana, wyrastały dalej olbrzymie drzewa wysokości wieluset stóp, zrośnięte z innymi, pnącymi się ku słońcu pod ich koronami. Wówczas trzeba było od nowa szukać drogi...

Najgorszy był przy tym nieustanny żar, który palił im ciała. W głębi dżungli powietrze stało w bezruchu przepojone upałem gęstym i wilgotnym, który tamował oddech i nie dopuszczał powietrza do skóry pokrytej stale warstwą potu. Gdy kończyła się woda, żołnierze przypominali półobłąkanych.

Najbardziej cierpieli ranni. Nie było możliwości odesłania ich na tyły. Nieśli więc zawiniętych w skrwawione bandaże na noszach z bambusu. Większość z nich z braku sił nie otwierała nawet oczu.

Ale i żołnierze widzieli niewiele więcej. Nawet w rzadziej zarośniętych miejscach widzialność ograniczona była do 100, a najwyżej 150 stóp.

Nie wiedzieli przy tym prawie nigdy, gdzie znajdują się „japi”. Strzały rozlegały się i od strony ubezpieczenia tylnego, i od szpicy. Gdy walczyli z nacierającą na ariergardę piechotą japońską, równocześnie niewidzialne kaemy i peemy otwierały ogień z przodu. Rozlegał się dziki wrzask wojenny samurajów.

W ten sposób poznawali japońską „taktykę przenikania”, szarpiącą i w dzień, i w nocy przemęczone nerwy żołnierzy.

Gdy śmiertelnie znużeni zasypiali na postojach, dochodziło szczekanie psów towarzyszących patrolom „japów”. Rozlegały się dźwięki naśladowujące głosy ptaków. Często zaraz po nich następował ogień pistoletów maszynowych.

W nocy wartownicy musieli rozróżniać dźwięki, które wydaje dżungla, od naśladowających ich głosów „japów”.

W zdenerwowaniu podawali nieraz sygnał alarmu bez potrzeby. To zaś wzmagало i tak wielkie już zmęczenie żołnierzy.

Mimo to nadal uporczywie przebijali się do środkowego Luzonu, gdzie powinni byli znaleźć większe siły własne. Avaceda rozumiał dobrze przyczyny, dla których żołnierze woleli męczarnie marszu przez-dżunglę niż niewolę japońską.

Pewnego dnia, gdy zbliżali się na wysokość Viganu, gdzie trwały uprzednio walki z desantem japońskim, weszli w zamieszkały rejon. Większość wsi była opuszczona. Mieszkańcy uciekli widocznie w głąb dżungli.

Gdy zatrzymali się w jednej z wiosek, usłyszeli przerażony głos sierżanta Figuerosa prowadzącego szperaczy. Początkowo myśleli, że napotkał Japończyków.

Figueros stał tymczasem przed ścianą dużej chaty. Przekłuci bagnetami, opierali się o nią czterej młodzi skauci filipińscy. Dwóch miało głowy ucięte szablami i ślady zadawanych nimi ciosów. Japończycy widocznie użyli ich zamiast sprzętu ćwiczebnego.

Obok stał, a właściwie wisiał na drutach oficer amerykańskiej piechoty morskiej. Z brzucha przeciętego bagnetem zwisały mu wnętrzności. Żył jeszcze. W ten sposób żył od dwu dni.

Zobaczywszy żołnierzy zdołał powiedzieć tylko: „Przez miłość Chrystusa... dobijcie mnie...” Na szczęście sanitariusze w batalionie mieli dosyć morfiny. Dwunastego dnia marszu dotarli do linii wojsk amerykańskich i filipińskich cofających się ze środkowego Luzonu w kierunku półwyspu Bataan. Był to korpus amerykańsko-filipiński.

Na myśl o tej nazwie Avaceda przestał już zupełnie wierzyć w ścisłość terminów wojskowych, które przedtem wydawały mu się nienaruszalne. Widocznie wojna miała odrębne prawa. A może po prostu usiłowano zastąpić pewnymi pojęciami brak realnych sił?

Czymże bowiem było te kilkanaście tysięcy żołnierzy, z których najwyżej dwa tysiące stanowiły regularne oddziały, a resztę świeżo powołani rekruci? Armia bez osłony lotniczej, czołgów, środków transportu, w której artylerie zastępować musiały moździerze i cekaemy.

Armia, której żołnierze nie przypominali wojska. Przynajmniej zewnątrz. Podarte w czasie walk mundury zastąpili otrzymanymi od chłopów ubraniami. Maszerowali przeważnie boso, opierając się o bambusowe tyczki, służące jednocześnie do wypychania łusek z przestarzałych karabinów, w których psuły się wyrzutniki. Na takich samych tyczkach nieśli swych rannych, dla których nie było sanitarek. „Bambusowa armia” — nazwali tych żołnierzy. Japończycy.

Najcięższe straty mieli po wyjściu z dżungli w krainę plantacji ryżowych. W otwartym terenie szczególnie silnie odczuwali przewagę Japończyków w uzbrojeniu, nieustanne naloty oraz ostrzał od strony morza.

Jednego dnia batalion stracił 120 poległych. Wówczas Avaceda usłyszał, jak żołnierze zapytywali oficerów: „Gdzie są nasze okręty? Dlaczego nie osłaniają brzegów?” Odpowiedzieć na to było trudno. Jednak tego dnia, gdy leżeli na brzegu zatoki Subic, znów po raz drugi zobaczyli działania własnej floty.

* * *

Porucznik Chapler obserwował przez peryskop linię brzegów Subic Bay. Tam gdzie horyzont zbiegał się z morzem, rozświetlona była pożarem wzniesionym

przez artylerię okrętów japońskich. Od strony lądu ku oceanowi szły tylko rzadkie, barwne wstążki świetlnych pocisków z kaemów. W ten sposób broniła się piechota. „Nic dziwnego, że jest jej z każdym dniem mniej” — pomyślał.

Tego samego zdania był również O'Hara, tylko w inny sposób dawał temu wyraz. Korzystając z wolnego czasu malował wraz z matem Thompsonem na torpedach napisy w rodzaju: „Specjalna przesyłka dla admirała Yamamoto”, „Upominek od Ellen”, „Ciasteczka babuni”. Każdy nowy napis wzbudzał śmiech patrzących marynarzy. Rechotał również zadowolony autor obcierając zavalane farbą ręce.

Tymczasem S-38 wpłynęła w głąb zatoki.

Chapler usłyszał w słuchawkach znany dobrze dźwięk śrub okrętów. Obraz w peryskopie od pewnego jednak czasu zatarł się. Mimo że księżyc świecił nadal jasno, opadająca na morze mgła przesłoniła widok. Wówczas nakazał na chwilę wynurzyć okręt. Oczywiście było to połączone z pewnym ryzykiem, ewentualny jednak atak był za to wielokrotnie pewniejszy.

S-38 wynurzył się na tyle tylko, by jego dowódca mógł spojrzeć na płynące przez zatokę okręty. Były to dwa duże transportowce, eskortowane przez dwa niszczyciele i trałowiec.

W tym momencie Chapler podjął decyzję. Postanowił storpedować transportowce, choćby miało się to odbyć nawet kosztem zaatakowania bombami głębinowymi S-38. Ważniejsze było jednak nie pozwolić Japończykom na wysadzenie piechoty.

Płynąc z zanurzeniem na głębokość peryskopu, słyszał wyraźnie w słuchawkach typowy dźwięk mielenia wody przez śruby niszczycieli i głucho dudnienie maszyn transportowców.

Cierpliwie czekał, z oczyma przyciśniętymi do okularów peryskopu, aż okręty zbliżą się na dogodną odległość. Określić ją pomagały mu błyski strażaków w stronę brzegu z obu niszczycieli. Obserwując okręty japońskie od czasu wynurzenia zauważył, że niszczyciele więcej zajęły się prowadzeniem ognia artyleryjskiego niż osłoną transportowców. Wysunęły się nadmiernie daleko o przodu i z rzadka tylko zmieniając kurs przepływały wzdłuż burt statków. Jedynie trałowiec sunący w ogniu kolumny wydawał się czujny.

Chapler jeszcze raz wykonał szybkie obliczenie. W wyniku jego stwierdził, że S-38 może zaryzykować zbliżenie się do transportowców na odległość 200 jardów.

Wówczas jednak, gdy S-38 skierował się na obrany kurs, nadszedł moment, w którym Chapler poczuł, że serce skoczyło mu do gardła! Jeden z niszczycieli nagle; zmienił kierunek i począł zbliżać się w ich stronę z pełną szybkością.

„Goddam! Czyżby zauważył peryskop?” — przemknęła mu błyskawicznie myśl. Mógł w tej chwili wydać rozkaz głębszego zanurzenia i zmiany kursu. Uniknęliby bomb głębinowych, straciliby jednak szanse zatopienia statków...

Czuł, że wpierają się w niego oczy marynarzy oczekujących na swych stanowiskach na jego polecenia. Wszak nikt oprócz niego na całym okręcie nie wiedział! co dzieje się na zewnątrz.

Wówczas zdecydował się. S-38 nie zmieniła ani kursu, ani zanurzenia.

Niszczyciel powoli przesunął się w odległości zaledwie kilkunastu jardów. Teraz i marynarze słyszeli zapewne głośny szum jego śrub, podobny do dźwięku, jakie wydaje ciężko załadowany pociąg pędzący nad głowami po szynach. Nie rozległ się jednak żaden dźwięk. Okręt zamarł w milczeniu.

Po kilkunastu sekundach, długich jak godziny, sylwetka niszczyciela zaczęła się oddalać. Znow wysunął się do przodu przed transportowce.

Chapler odetchnął z ulgą. Więc jednak słusznie postąpił ryzykując...

Tymczasem fala mgły, popchnięta widocznie wiatrem, powtórnie przysłoniła widok. Przez dłuższą chwilę nie mógł w ogóle dojrzeć transportowców. Czyżby w ostatniej chwili wszystko miało zawieść?...

Nie! S-38 był jednak naprawdę szczęśliwą „łodzią”. W chwili gdy odległość akurat nadawała się do strzału, wiatr rozwiął mgłę i promienie księżyca wyraźnie rozświetliły statki.

Wtedy Chapler wydał rozkaz.

W przedziale torpedowym zabłysło czerwone światło alarmowe. Torpedyści zamarli na moment na swych stanowiskach.

— Przygotować wszystkie wyrzutnie — usłyszeli rozkaz dowódcy.

— Wszystkie wyrzutnie gotowe! — rozległa się odpowiedź w słuchawkach.

— Ognia!

Chapler nie przerywając obserwacji spoglądał co chwila na zegarek. Liczył: sekunda... dwie... trzy... cztery... pięć...

Wtem usłyszał dwa ostre dźwięki, przypominające cięcie metalu piłką. Chwyił obu rękami peryskop.

Jeden z transportowców japońskich tonął szybko. Chapler dostrzegł panikę, jaka wybuchła na jego pokładzie. Załoga i żołnierze piechoty bezskutecznie usiłowali spuścić łódź ratunkową. Drugi transportowiec całą siłą pary uciekał w stronę otwartego morza. Jasno jak pochodnia płonął trałowiec. W ostatniej chwili wysunął się widocznie do przodu, aby osłonić transportowce, i trafiła go torpeda przeznaczona dla nich.

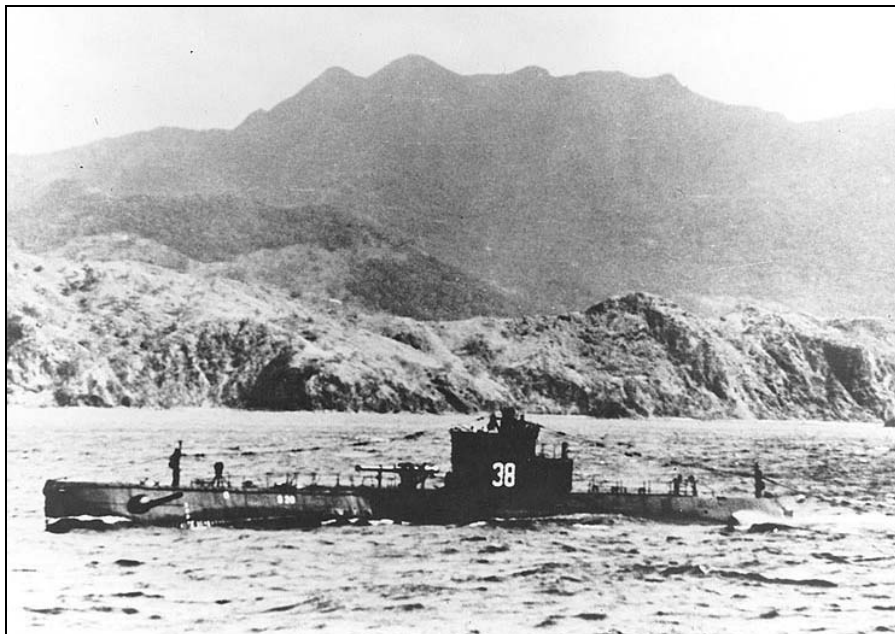
Obydwa niszczyciele natychmiast przerwały ostrzeliwanie brzegu. Jeden z nich przystąpił do ratowania rozbitków. Drugi natomiast zatoczył kilka kręgów rzucając na oślep, akurat w przeciwnym kierunku, kilkanaście bomb głębinowych, po czym pogoził za uciekającym transportowcem. Wkrótce skryła ich ciemność.

— Tej nocy „japi” nie będą już próbowali desantu — powiedział O’Hara.

S-38 mógł więc powrócić do Manili. Skrzydłu obrony Bataanu przestało przynajmniej na razie grozić niebezpieczeństwo.

W ciągu około pół godziny okręt płynął pod wodą, po czym Chapler wydał rozkaz wynurzenia. Noc była znów jasna i piękna. Nawet brzegi Bataanu wydawały się jakieś bardziej przytulne.

Chapler obserwował je z kiosku z zainteresowaniem: Przeczynał, że widzi je już po raz ostatni...



USS S-38, 1930 r.

UPADEK MANILI

Powodzenie natarcia na północnym wschodzie Luzonu, którego konsekwencją był odwrót wojsk amerykańsko-filipińskich w kierunku półwyspu Bataan, spowodowało, że admirał Takahashi i generał Homma przystąpili do zaatakowania rejonu Manili z kolei od południowego zachodu.

Z archipelagu Ryukyu wypłynął w kierunku zatoki Lamon konwój w składzie 24 transportowców, przewożący 16 dywizję piechoty. Osłonę jego stanowiły okręty zespołu kontradmirała Kubo na lekkim krążowniku „Nagara”, 24 dywizjon niszczycieli i 11 dywizjon wodno-płatowców bazowych na okrętach-matkach oraz 6 kanonierek.

W dniu poprzedzającym Boże Narodzenie Japończycy wysadzili desant przy słabym sprzeciwie 51 dywizji filipińskiej, która równocześnie cofała się pod naporem oddziałów japońskich wysadzonych już wcześniej w położonej dalej na południu zatoce Legaspi. W ten sposób Manila znalazła się w kleszczach od północy i południa. Nie pomogło również pośpieszne przerzucenie na zagrożony odcinek ostatnich odwodów piechoty i czołgów,

* * *

Po czterech dniach marszu podporucznik Lindsay i trzech żołnierzy z załogi jego czołgu weszło na przedmieście Manili.

Ulica była opustoszała i wyludniona. Panowała cisza. Lindsayowi wydawało się, że kroki ich bosych stóp słychać na wiele metrów.

Przed sześciu dniami ich kompania czołgów skierowana została na czele czterech kolumn piechoty filipińskiej na przylądek Batangas. Za zadanie mieli odbić mały port rybacki, w którym wylądowali Japończycy.

Na odprawie przed wymarszem jakiś major ze sztabu dywizji zapewnił ich, że „japi” nie mają niczego oprócz ciężkich karabinów maszynowych. Oczywiście te były dla opancerzenia czołgów niegroźne. Ich dowódca zażądał mimo to przeprowadzenia uprzedniego rozpoznania przez piechotę, ponieważ strata każdego czołgu była w ich warunkach nie do uzupełnienia. Cała armia: południowa posiadała tylko tę jedyną kompanię. Ale major stwierdził, że jest to niepotrzebne i że poza tym nie ma czasu na bawienie się w głupie ostrożności.

Do natarcia poszli więc zupełnie spokojni. Przez pewien czas rzeczywiście z linii japońskich nie padł żaden strzał. Skauci filipińscy poczęli rozwijać się tyralierą.

Nie wiedzieli wówczas, że jest to tylko podstęp. Gdy czołgi były w pobliżu pierwszych budynków, Lindsay, usłyszał przeciągłe wystrzały.

Potem już strzał padał za strzałem. Japońskie działa, otworzyły ogień. A więc mieli artylerię przeciwpancerną...

Nie było już jednak czasu wdawać się w rozważania na ten temat.

Pociski zapaliły czołg dowódcy plutonu idący na przedzie. Droga była wąska, a z obu jej stron rozpościerały się bagniste pola ryżowe, żaden więc z czołgów nie? mógł zawrócić. Stanowili teraz tarczę dla nieprzyjacielskich celowniczych. Wkrótce i inne czołgi były już unieruchomione. Tylko ich pozostał nie uszkodzony.

Przez cały czas prowadzili ogień. Wystrzelali ponad 300 pocisków z kaemu i około 12 z 37-milimetrowego działka.

Wszystko nastąpiło jednak tak szybko, że Lindsay nie zdołał nawet zaobserwować, gdzie znajdują się działa japońskie. Strzelali więc na ślepo. To nie miało sensu, bo w każdej chwili również ich czołg mógł zostać trafiony. Lindsay kazał więc kierowcy zawrócić.

To było łatwe jednak tylko w teorii. Czternastotono-wy czołg na wąskiej polnej drodze był niezgrabny jak słoń w sklepie porcelany. Przy ostrym zwrocie zsunęli się na bagniste pole. Mimo wszelkich usiłowań nie mogli się poruszyć. Czołg był unieruchomiony, gaśnice zapadały się coraz głębiej.

Lindsay zobaczył, jak z wjazdu pierwszego czołgu zwisa bezwładnie ciało dowódcy plutonu. Serie japońskie ucięły mu nogi. Przy drugim czołgu leżeli spaleni żołnierze. Piechurzy filipińscy uciekali tymczasem przez topla ryżowe. Lindsay nie dziwił się im. Mieli tylko karabiny i ani jednego cekaemu. Ich dowódcom na wspólnej odprawie powiedziano, że stanowiska broni maszynowej „japów” zniszczą czołgi. Teraz w gęstym ogniu kaemów japońskich rzeczywiście nie mieli nic lepszego do zrobienia, niż poszukać ukrycia.

Tymczasem do czołgu zaczęła zbliżać się piechota japońska. Wtedy Lindsay zamknął włazy, a żołnierzom nakazał udawać zabitych. Leżeli tak chyba ponad godzinę. W pewnej chwili Lindsay usłyszał, jak „japi” próbują bagnetami otworzyć klapy. Zamki jednak nie puściły. Jakiś oficer zajrzał wtedy przez wzierniki bojowe do środka, lecz y zobaczył leżących, którzy wstrzymali oddech, powiedział po angielsku: „Wszyscy zabici”. Lindsay obawiał się, że to jest podstęp. Leżeli więc dal w tych samych pozycjach. Rzeczywiście po pół-rej godzinie „japi” znów zajrzeli do środka. Tym razem byli już jednak przekonani, że załoga naprawdę zginęła.

W ten sposób czekali do zmroku. Nie było to łatwe. W czołgu panowało straszne gorąco. „Większe chyba niż w piekle” — myślał Lindsay. Nie mieli przy tym wcale wody. Oczywiście najciężej wytrzymać było rannym. Toteż gdy wysunęli się z czołgu, jak tylko zapadła noc, najpierw zaczęli szukać wody.

W polu ryżowym znaleźli mały strumyk. Droga do niego prowadziła przez błotniste pole. Zdjęli z nóg buty, ponieważ spadały ze stóp i pozostawały w glinie.

Myjąc brudne, rozpalone twarze i pijąc wodę, usłyszeli kroki i głosy mówiące po japońsku. To druga linia piechoty maszerowała w kierunku Manili. Zachowywali się głośno, śmiali i rozmawiali. Wiedzieli na pewno, że przed sobą nie mają już nikogo, kto mógłby im stawić opór.

Lindsay i jego żołnierze musieli więc znów szukać ukrycia. Maszerując boso polem ryżowym w pobliżu drogi, bali się bowiem od niej oddalić, by nie zgubić kierunku, widzieli maszerujących Japończyków, samochody, działa i motocykle.

Musieli zachowywać się bardzo cicho. Nie było to łatwe dla rannych. Kierowca czołgu miał krtań przebitą odłamkiem. Ręka radiotelegrafisty zwiśla bezwładnie.

Obydwaj słabli coraz bardziej. Szczególnie kierowca. Lindsay i celowniczy, mimo że byli cali, nie mieli już także zbyt wiele sił. Mimo to od następnego dnia poczęli nieść kierowcę. Pomagał im w tym jedną zdrową ręką radiotelegrafista. Do wiosek filipińskich bali się wchodzić, by nie natrafić na Japończyków. Pili więc tylko wodę i jedli po kawałku trzy suchary, które rozdzielił pomiędzy nich Lindsay. Więcej zapasów żywności nie mieli.

W ten sposób szli cztery dni.

Lindsay nie miał nadziei, że dojdzie przed „japami” do Manili. Na szczęście Japończycy zboczyli na południe od miasta, chcąc najpierw zająć lotniska wojskowe w Nichols i Nilson Field. Gdy czterej czołgiści znaleźli się w mieście, Lindsay stwierdził, że nie wystarczy im już sił na dotarcie na Bataan, gdzie wycofywała się armia. Nogi mieli tak popuchnięte, że przypominały nogi Murzynów chorych na słoniową chorobę. Przez opustoszałe i wymarłe ulice skierowali się więc do stojącego w płomieniach portu. Tam ujrzeli ścigacz. „A więc są jeszcze na Filipinach amerykańskie okręty” — pomyślał Lindsay. Wiedział tylko, że nie ma już więcej czołgów na Luzonie.

* * *

Porucznik Gaston od dwu dni znów przebywał w Manili.

Przez cały czas od walki stoczonej pod Aparii ścigacze jego zespołu współpracowały ściśle z cofającą się z Luzonu armią lądową. W Viganie uzupełnili zapas paliwa, żywności i torped. Pozwoliło im to stoczyć jeszcze kilka potyczek z „japami” podczas lądowania w zatoce Lingayen oraz przy osłonie brzegów przed ostrzeliwaniem artyleryjskim i próbach wysadzenia na zapleczu małych dywersyjnych oddziałów.

Cichy Mirris twierdził nawet, że zatopili kilkanaście razy więcej tonażu japońskiego, niż wynosił ciężar wszystkich ścigaczy dywizjonu.

Zapewne miał rację. Jeden duży transportowiec-dziesięciotysięcznik, kilka barek desantowych i uszkodzony niszczyciel stanowiły ładną zdobycz. Z ich trzech ścigaczy został już jednak tylko S-34... Pozostałe zniszczyły nieprzyjacielskie pociski.

Obecnie pod dowództwem Bulkeleya pełnili służbę kurierską i osłaniali Zatokę Manilską. Gaston z osobistych względów był z tego zadowolony.

Pozwalało mu to zobaczyć się z Dolores.

Ostatni raz widzieli się wówczas, gdy Manila została ogłoszona otwartym miastem. Wiedziała o tym, lecz sądziła, że oznacza to tylko zaprzestanie nieustannych nalotów. Wieczorem znaleźli się razem w restauracji. Zwykle tłoczna sala była pustawa. Orkiestra grała jeszcze jakieś tanga, fokstroty, kariokę...

Przez uchylone okno słyszeli miarowy stuk kroków. Trwał już od wielu godzin. Południowa armia wycofywała się na Bataan.

Dolores nie rozumiała, co oznacza ten nocny marsz. Tak jak większość Filipińczyków, miała zaufanie do przyszłości. Ona, i jej ojciec spodziewali się, że już wkrótce ze Stanów nadejdzie pomoc i filipińscy oraz, amerykańscy żołnierze wyrzucą z Luzonu najeźdźców.

Gaston nie mógł się zdobyć na to, aby powiedzieć jej prawdę.

Następnego dnia, mimo iż Manilę ogłoszono otwartym miastem, od rana rozpoczął się wielki nalot japoński. Nad opustoszałymi ulicami, na wysokości nieraz mniejszej niż 500 stóp, z wściekłym wyciem przelatywały samoloty.

Po nalocie Gaston udał się do gmachu dowództwa floty. Z oddali dochodził wyraźnie ogień karabinów i broni maszynowej. Japończycy byli już w pobliżu miasta. Porucznik nie zdążył dojść do Marsmann Building, gdy syreny zawyły po raz drugi. Na bezbronne miasto znów poczęły padać bomby...

* * *

W tym czasie w trzykrotnie już obrzucanym bombami budynku dowództwa amerykańskiej Floty Azjatyckiej już od ponad dwóch godzin toczyła się pod przewodnictwem admirała Harta narada wyższych oficerów jego sztabu.

W chaosie odwrotu generał Mc Arthur zapomniał powiadomić Harta, że zamierza ewakuować Manilę w dniu 24 grudnia. Admirał dowiedział się o tym przypadkowo zaledwie wczoraj.. Był to doskonały przykład współdziałania armii z marynarką.

Roztargnienie Mc Arthura nie pozwoliło Hartowi na wydanie polecenia przewiezienia na Bataan torped, paliwa i części dla łodzi podwodnych. Okręty podwodne traciły więc ostatnią możliwość uzupełnienia zapasów amunicji i wykonywania napraw. Musiało to rzecz oczywista wpłynąć decydująco na ewentualność ich dalszego pobytu na Filipinach.

Po burzliwej dyskusji admirał Hart podjął na odprawie decyzję, że łodzie podwodne działać będą aż do wyczerpania posiadanych przez siebie zapasów. Termin ten upływał z ostatnim dniem 1941 roku.

Od tej chwili na Filipinach pozostawały jedynie lekkie okręty, jak ścigacze, kanonierki, trałowce i statki pomocnicze. Krążownik „Houston” oraz niszczyce i

okrety-bazy wodnopłatowców odplynęły już wcześniej na Borneo, gdzie były niezbędne dla powstrzymywania naporu Japończyków na Indie Holenderskie.

Była punktualnie godzina dwunasta w południe 24 grudnia 1941 roku, gdy admirał Hart przekazał dowództwo nad zespołem pozostającym na Filipinach kontradmirałowi Rockwellowi, który jako swą kwaterę obrał tunel skalny na wysepce Corregidor.

Admirał Hart i jego sztab mieli odlecieć na Jawę trzema pozostałymi „Catalinami” ukrytymi w mangrowach Los Banos, by stamtąd kierować operacjami okrętów Floty Azjatyckiej, powstrzymującymi pochód japoński na południe.

Po ich odlocie w Manili pozostały jeszcze tylko ścigacze.

* * *

Po drugim nalocie „japów” wypłynęli z płonącego portu na morze. W każdej chwili mógł nastąpić ponowny nalot, nie można więc było dłużej narażać ścigaczy. Pozostać miał tylko okręt De Longa, aby ewakuować znajdujących się jeszcze w mieście oficerów marynarki.

Około godziny ósmej wieczorem Gaston otrzymał z Corregidoru radiowy rozkaz powtórnego udania się do Manili. Zadaniem ich było wraz ze ścigaczami Bulkeleya i Connolly'ego zniszczyć pozostałe jeszcze w porcie statki.

S-34 wpłynął do Manili w chwili, gdy pierwsze patrole „japów” poczęły wkraczać na przedmieścia. Miasto płonęło. W porcie na wodzie na grubość 6 cali rozciągała się warstwa brudnego, zielonkawobrazowego oleju.

Załogi ścigaczy w pośpiechu przystąpiły do niszczenia łodzi i statków. Małe po prostu zatapiano, wyrabując w dnach dziury siekierami. Duże wysadzano w powietrze, umieszczając pod pokładami ładunek dynamitowy.

Patrząc na szalejące wokół pożary Gaston pomyślał jeszcze raz o Dolores. Czy jest w mieście, czy wyjechała na plantację? Wolał, ażeby jej nie było. Gdy się żegnali nad ranem, powiedziała mu, że dopóki można będzie, postara się zostać w jego pobliżu.

Na wybrzeżu doku znajdował się telefon. Gaston postanowił spróbować. Może automatyczna centrala jeszcze działa?...

Powoli nakręcił znany dobrze numer.

W słuchawkach usłyszał jakiś trzask i szum. Nagle stłumiony, ciepły głos:

— Halo... To ty, Tim?...

— Tak... Nie wyjechałaś?

— Nie. Myślałam, że może będziemy się mogli jeszcze zobaczyć. Ale teraz dookoła tyle ognia. Tim, co będzie z nami?

Głuchy łoskot wysadzonego w powietrze statku i znów jej głos:

— Skąd ty dzwonicz, Timie?

— Z odwrotu...

— A więc to już naprawdę koniec?

— Tak, maleńka...

W słuchawkach zaległa cisza. Potem trzask, a potem znów jej głos:

— Tim, czy możesz mi powiedzieć, kiedy wrócisz?

— Nie, chyba nie... To wie tylko przeznaczenie... Znów huk eksplozji, od którego zadrżało wszystko.

Potem cisza. Gaston uderzył w widelki, telefon milczał. Kilka razy próbował nakręcić numer Dolores, ale centrala już nie łączyła.

Wracając zauważył na wymarłej ulicy, prowadzącej do portu, kilku rowerzystów. Za nimi posuwała się kolumna piechoty. Płomienie oświetlały obce mundury i żółtawe twarze.

Dolores była już więc w ich rękach. Kiedy ten los spotka i jego?...

W kilka minut później S-34 opuścił Manilę, kierując dziób w stronę Bataanu. Tylko tam jeszcze trwała obrona.



PT Boats w akcji. (rys. Jack Fellows)

KONIEC SAMURAJA SUGURU

Po ewakuacji Manili korpus generała Parkera, broniący dotąd południa Luzonu, skierował się na półwysep Bataan, na którym zajął wraz z korpusem generała Wainwrighta stanowiska obronne.

Wąski cypel Bataanu i skalista wysepka Corregidoru były od tej chwili ostatnimi kawałkami ziemi znajdującymi się w rękach obrońców Filipin.

Plan wojny z Japonią przewidywał, że Filipiny powinny własnymi siłami powstrzymać napór japoński co najmniej przez dwa tygodnie. Po tym okresie przybyć miała im z pomocą Flota Pacyfiku z Pearl Harbor na Hawajach.

Admirał Hart i generał Mc Arthur wiedzieli jednak, że okręty Floty Pacyfiku na Luzon nie przybędą już nigdy. Flota Pacyfiku bowiem jako realna siła bojowa już nie istniała. Nalot japoński na Pearl Harbor, przeprowadzony z lotniskowców, o którym się dowiedzieli w nocy 8 grudnia, wyeliminował ją na długi okres z walki.

Zatonęło sześć najpotężniejszych pancerników, jakie posiadały Stany Zjednoczone. Uszkodzone zostały liczne krążowniki, niszczyciele i okręty pomocnicze niezbędne do działań floty. Zniszczona została połowa samolotów stacjonowanych na Hawajach. Wraz z nimi w przeciągu niespełna trzech godzin walki zginęło 2000 marynarzy, a ponad 1000 odniosło rany.

Była to zapewne największa klęska, jaką kiedykolwiek odniosła w dziejach wojen morskich marynarka wojenna.

Po teźe klęsce na ogromnych obszarach Pacyfiku nie było już ani jednego okrętu liniowego. Flota japońska mogła skierować swe uderzenie w dowolnie wybrane miejsce.

Położenie Filipin stało się więc beznadziejne. Czy mogły jednak kapitulować?

Filipiny, klucz południowo-wschodnich obszarów Pacyfiku, musiały stoczyć z Japończykami walkę o czas. Czas równał się teraz nowym okrętom, samolotom, czołgom, i działom, które zdąży wyprodukować przemysł. Równał się zahamowaniu ekspansji samurajów na zupełnie niemal bezbronne terytoria Indii Holenderskich i Australii, dopóki do walki nie wkroczą rezerwy Anglii i Ameryki.

Admirał Hart zdawał sobie z tego jasno sprawę. W porozumieniu z generałem Mc Arthurem podjął decyzję, by walkę w obronie Filipin prowadzić do wyczerpania wszystkich sił i środków. Stawką jej nie był bowiem tylko Bataan, ale pokrzyżowanie japońskich zamierzeń na błyskawiczny przebieg wojny. A na tym przecież bazował stworzony w Tokio plan podboju Azji południowo-wschodniej.

Bataan postanowił bronić się do końca. Granicę jego oporu określać miał tylko zapas amunicji i żywności oraz wytrzymałość ludzi. Wojska lądowe w obronie przyłądka wspomagać miały małe okręty Floty Azjatyckiej.

Były to kanonierki, trałowce, dwa okręty-bazy łodzi podwodnych, dywizjon ścigaczy porucznika Bulkeleya oraz holowniki portowe, a nawet przerobione... jachty.

Zadaniem małych okrętów była osłona brzegów Bataanu przed lądowaniem Japończyków na tyłach wojsk amerykańsko-filipińskich i niedopuszczanie ich okrętów w głąb Zatoki Manilskiej.

Pozostawiając tę nieliczną flotę admirał Hart wykorzystał doświadczenie wynikające z operacji desantowych Japończyków na Malajach. Anglikom nie pomogło tam posiadanie wówczas dwóch wielkich okrętów liniowych, „Prince of Wales” i „Repulse”, które nie mając osłony lotniczej zostały zatopione koło Kuantung w czasie jednego z nalotów. Natomiast brak małych okrętów dał im się dotkliwie we znaki, umożliwiając Japończykom skryte lądowanie na zapleczu ich wojsk. Na Bataanie lekkie siły morskie miały wykazać po raz pierwszy w drugiej wojnie światowej swą przydatność w obronie wybrzeża przeciw przeważającej flocie.

* * *

Z pokładu S-34 Gastón widział w świetle zachodzącego słońca całą Zatokę Manilską. Długa i szeroka na 20 mil, kształtem przypominała ludzaco jamę ustną człowieka. Dwa przylądki stanowiły wargi. Górną lesisto-górzysty Bataan, gdzie broniły się ich wojska; dolną Batangas zajęty przez „japów”. Dalekosiężne działa ostrzeliwały stamtąd stanowiska amerykańsko-filipińskie.

Pomiędzy nimi, jak twarda, mała pigułka, usadowiła się skalista wysepka Corregidor, najeżona armatami w stronę morza.

W głębi gardła, na północno-wschodnim brzegu, leżała Manila, a obok ich dawna baza — Cavite. Obydwie już od wielu dni w rękach „japów”.

S-34 płynął na codzienny nocny patrol wzdłuż brzegów Bataanu w stronę Subic Bay. W przodzie Gastón widział odcinającą się od wody szarą sylwetkę okrętu Bulkeleya.

Noc zapowiadała się chłodna i wietrzna, więc marynarze założyli na lekkie bluzy, które nosili w ciągu dnia, ciepłe swetry. Od nieustannego patrolowania w tropikalnym słońcu twarze mieli tak spalone, że kolorem skóry nie różnili się od skautów filipińskich na Bataanie.

Nie było to jednak jedyne podobieństwo.

Mieli również, jak i tamci, zapadnięte policzki, wyostrome rysy i gorączkowo płonące oczy. Brak snu i dający się we znaki głód wywoływały na Bataanie objawy takie, jak na morzu.

Dopóki nie zapadła ciemność, patrol był monotony. Gdy znaleźli się w odległości około 15 mil od cypla przylądka, zaczęła się normalna zabawa.

W wodę uderzyły pierwsze pociski artyleryjskie. Gaston spokojnie zmienił kurs wychodząc poza ich zasięg. Zobaczył, że to samo zrobił ścigacz Bulkeleya.

Strzelały amerykańskie działa. Wiedział już z doświadczenia wielu patroli, że głównym sukcesem wypraw jest ujście przed ogniem własnej artylerii.

Nie minęło pięć minut, gdy Gaston dostrzegł jakiś niski, podłużny cień na wodzie zmierzający w ich stronę.

„Czyżby japońska łódź desantowa, próbująca wysadzić piechotę na tyłach naszych wojsk? — przemknęła mu myśl. — A może jest to barka utrzymująca łączność pomiędzy Corregidorem i Marivelles?”

S-34 cicho zaczął posuwać się w stronę nieznaną łodzi. Gaston nie spuszczał przy tym oczu z małego światła migocącego na jej dziobie.

W pewnej chwili łódź zaczęła sygnalizować. Światło przygasalo i zapalało się, posyłając w noc kropki i kreski jakiegoś niezrozumiałego kodu.

Do Gastona podbiegł radiotelegrafista Johnson. „Porucznik Bulkeley nakazał przygotować się do ataku” — zameldował. Rozpocznie go jego okręt. Torpedyści i strzelcy na S-34 zajęli stanowiska.

W ten sposób przebyli jeszcze około 30 jardów. Byli już niecałe 25 jardów od łodzi, gdy światło palące się na niej raptownie zgasło.

* * *

Od dwu miesięcy już kapitan Ozuma Suguru nie mógł zrozumieć, co się dzieje na Filipinach.

Ciągle miał jeszcze w pamięci szybki marsz od Aparii do Bataanu. Kilkrotnie nawet zdarzyła mu się wówczas okazja, aby poćwiczyć sztukę szermierczą na jeńcach, którzy wpadli w jego ręce. Wolał przy tym skautów filipińskich. Mieli cieńsze od Amerykanów szyje, co wymagało mniej wysiłku i mniej zużywało ostrze szabli, o którą było tutaj trudno.

To, co zdarzyło się później, nie mieściło się w jego samurajskiej głowie.

Tkwili od dwóch miesięcy na przekłętej linii okopów na Bataanie i nie mogli ani kroku posunąć się do przodu. W kompanii kapitan miał przy tym coraz mniej żołnierzy.

Nastroj jego pogarszał się więc z dnia na dzień. Przestał nawet pisywać listy do domu. Donosić o długotrwałych walkach na Bataanie byłoby przecież hańbą dla armii cesarskiej...

Humor mu powrócił, gdy otrzymał zawiadomienie od dowódcy batalionu, że jego kompania weźmie udział w skrytym, nocnym lądowaniu na zachodnim brzegu półwyspu.

Poprzednie próby, przeprowadzone pod osłoną okrętów wojennych, już kilkakrotnie zawiodły. Ścigacze amerykańskie zatopiły torpedami pomocniczy krążownik, jeden niszczyciel oraz uszkodziły lekki lotniskowiec przerobiony ze

statku pasażerskiego. Były to straty zbyt ciężkie nawet dla wielkiej floty imperialnej. Co gorsze, nie opłacały się, bowiem w tym czasie, gdy okręty osłonowe walczyły ze ścigaczami, artyleria z brzegu niszczyła łodzie desantowe z piechotą.

Tym razem więc dowództwo postanowiło wykorzystać noc. Gdy piechota zdola umocnić się na brzegu, łatwo będzie pod osłoną okrętów przysłać jej wówczas świeże posiłki.

Przygotowania do desantu przeprowadzono w najściślejszej tajemnicy i poza dowódcami kompanii nie wiedział o celu wyprawy żaden oficer ani żołnierz.

Z zatoki Subic odplynęli w dwie godziny po zapadnięciu nocy. Barki szły w dość dużych odstępach od siebie, tak że kapitan Suguru z trudem dostrzegał światełko palące się na dziobie sąsiedniej łodzi.

Natomiast w pewnej chwili zauważył zbliżający się z przodu cień. Sądził, że jest to jedna z barek, która wysunęła się nadmiernie do przodu, rozkazał więc podać światłem sygnał rozpoznawczy...

* * *

Na idącym z przodu ścigaczu Bulkeley podniósł do ust mikrofon megafonu i krzyknął: „Łódź... Ahoy!...” Otrzymał niemal natychmiastową odpowiedź: serię z karabinu maszynowego. Świetlne pociski jak sznurek rozsypanych paciorków pobiegły w stronę obu okrętów.

Ścigacze odpowiedziały w tej samej prawie chwili ogniem pokładowych kaemów.

Bulkeley uchwycił pistolet maszynowy i strzelał z niego w stronę barki, zasłonięty tylko szklaną osłoną mostku. To samo robili marynarze.

W świetle smugowych pocisków Bulkeley dojrzał teraz wyraźnie barkę japońską. Była niska i ścięta z przodu. Dziób i rufę miała opancerzoną. Starala się przez cały czas w ten sposób obracać, by kierować na ścigacz pancerne płyty. Ścigacz natomiast okrążał ją w koło strzelając w nie osłonięte burty.

Po chwili Bulkeley usłyszał z tyłu rozdzierający krzyk bólu. Był to chorąży Chandler, któremu pocisk japoński przestrzelił kolano. Marynarze natychmiast znieśli go na dół. W tym samym czasie barka japońska została trafiona w zbiornik paliwa, które natychmiast zaczęło płonąć. Silnik jej zatrzymał się.

Gdy jednak ścigacz zbliżył się do barki, Japończycy skierowali wiosłami dziób do przodu próbując go staranować. Wtedy Bulkeley rzucił do jej wnętrza wiązkę granatów. Rozległ się huk wybuchu i na łodzi japońskiej zapanowała zupełna cisza.

Jednym skokiem z pokładu Bulkeley i dwóch marynarzy znalazło się z pistoletami maszynowymi w barce.

Było w niej tylko czterech Japończyków, w tym dwóch rannych. Na widok Bulkeleya oficer japoński rzucił się na kolana. Łamaną angielszczyzną począł krzyknąć: „Ja się poddawać! Ja się poddawać!” Marynarze obwiązali go liną i wyciągnęli na pokład ścigacza. Bulkeley tymczasem szybko przeszukał barkę. Wśród papierów znalazł plan zamierzonego nocnego lądowania.

Na pokładzie ścigacza kapitan japoński klęcząc zasłaniał oczy rękoma. Oczekiwał na śmiertelny strzał. Gdy po kilkunastu minutach przekonał się, że marynarze nie mają zamiaru go zabić, odzyskał nieco pewności siebie. Był jednak już tylko cieniem dawnego Ozuma Suguru.

W tym czasie S-34 krążąc po morzu odkrył jeszcze dwie barki japońskie i zniszczył je ogniem kaemów. Trzecią zatopiła artyleria obrony wybrzeża. Sam S-34 ledwo uniknął przy tym zatopienia pociskami dział z Bataanu, które znów pomyliły go z „japami”. Trzeba było jednak i artylerzystom pozwolić na nieco przyjemności. Nad ranem oba ścigacze powróciły do swej ukryte bazy w pieczarze Sisman. Marynarze musieli odpocząć.

„BASTARDZI Z BATAANU”

Gdy okręty osłaniały brzegi półwyspu Bataan, armia lądowa broniła go przed niemal codziennie powtarzającymi się natarciami Japończyków.

Siły obrońców Bataanu składały się głównie z wojsk filipińskich oraz około 2000 żołnierzy piechoty amerykańskiej. Nominalnie nadal podzielone były na dwa korpusy, jakkolwiek praktycznie nie stanowiły równowartości więcej niż dwu dywizji. Brak im było przy tym artylerii, moździerzy, czołgów, a przede wszystkim lotnictwa.

Natomiast dużym udogodnieniem było samo ukształtowanie półwyspu. Miał on około 40 kilometrów długości i 30 kilometrów szerokości. Z dwóch stron oblewały go wody Zatoki Manilskiej, z trzeciej Morza Południowo-Chińskiego. Cały teren półwyspu był górzysty, przy czym najwyższe szczyty przekraczały 1500 metrów wysokości.

Ukształtowanie terenu wykorzystały oczywiście wojska filipińsko-amerykańskie. Po dwutygodniowych walkach obustronnych na przedpolach Bataanu, prowadzonych od 26 grudnia, zajęły one 6 stycznia 1942 roku naturalnie umocnione stanowiska w środku półwyspu. Ich linia przebiegała od portu Moron na wschodzie do wybrzeża Zatoki Manilskiej na zachodzie. Pośrodku linii obronnej znajdowała się wysoka góra Natib, stanowiąca jak gdyby naturalną cytadelę.

Lewe skrzydło obrony pomiędzy Moron a Natib zajmował korpus, natomiast prawe od strony Zatoki Manilskiej II korpus. Obronę Bataanu wspierały dodatkowe ciężkie działa artylerii nadbrzeżnej mające stanowiska na odległej o trzy i pół kilometra wysepce Corregidor.

Wskutek nieustannego naporu Japończyków nie udało się jednak utrzymać tej linii. Nowe oddziały japońskie nacierając z kierunku Port Binango wyparły korpus z dotychczasowych pozycji. Wojska amerykańsko-filipińskie zajęły w dniu 26 stycznia rezerwową pozycję w poprzek półwyspu biegnącą od Bagac na zachodzie do Orionu na wschodzie.

Innych możliwości odwrotu już nie było. Od pierwszych okopów do południowego krańca półwyspu pozostał tylko skrawek ziemi długości 19 kilometrów.

Wiedział o tym dobrze każdy oficer i żołnierz. Na tej jednak pozycji „bastardzi z Bataanu”, jak sami siebie nazywali, zatrzymali Japończyków na jeszcze 83 długie dni.

Dowództwu japońskiemu nie pomogła zamiana kierującego walką na Filipinach generała Homma na „Tygrysa Malajów”, starego i okrutnego Yamashitę. Nie pomogło mu też kierowanie nowych oddziałów.

„Bastardzi z Bataanu”, mali, zgrabni, zaprawieni w walce w dżungli skauci filipińscy, z zadziwiającą wytrzymałością i bohaterstwem bronili ostatniego wolnego kawałka swej ojczystej wyspy.

* * *

Ścigacze i kanonierki wprawdzie w stosunku do reprezentowanej przez siebie siły zadawały znaczne straty Japończykom, nawet w dużych okrętach wojennych, z trudem jednak mogły zapobiec wszystkim próbom wysadzenia desantu i sforsowania wejścia do Zatoki Manilskiej.

Japończykom udało się w końcu po wielu nieudanych próbach wylądować na Longoskavaya, południowym cyplu Bataanu w pobliżu portu Marivelles. Stanowiło to poważne zagrożenie dla zaplecza wojsk amerykańsko-filipińskich, a szczególnie ich linii komunikacyjnych z Corregidorem, wówczas położenie uratowała jeszcze raz marynarka wojenna.

Komandor Francis Bridget, dowodzący resztkami lotnictwa morskiego pozostałymi na Bataanie, zorganizował pośpiesznie batalion piechoty morskiej z około 150 osób personelu naziemnego lotnictwa, 130 marynarzy załogi USS „Canopus”, któremu udało się ująć z Manili do Marivelles, i 100 uciekinierów z bazy w Cavite.

Przez niemal pięć dni batalion odpierał natarcia japońskie w głąb Bataanu. „Japi” stosowali swoją słynną taktykę przenikania w nocy na tyły. W walce z żołnierzami Bridgeta nie dawała ona jednak rezultatów.

Przyczyna tego była prosta.

Nowa jednostka nie знаła podstawowych zasad taktyki piechoty. Batalion utrzymywał więc swe pozycje jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem i brawurą, co wywoływało wściekłość i osłupienie wroga.

W dzienniku znalezionym w mundurze zabitego Japończyka Bridget przeczytał ze zdziwieniem: „Na Bataanie pojawił się nowy rodzaj samobójczych oddziałów ubranych w kolorowe mundury i z hałasem poruszających się po dżungli. Żołnierze ich usiłują skierować na siebie ogień japoński przez siadanie kołem, głośne rozmowy i palenie papierosów”. Ow żoźnierz zdziwiłby się zapewne, gdyby dowiedział się, że takie właśnie było normalne umundurowanie żoźnierzy Bridgeta, okupywane zresztą krwawymi stratami.

W piątym dniu walk owych dziwnych żoźnierzy zastąpił 57 pułk skautów filipińskich. Dzielni i doświadczeni w walkach w dżungli, skauci dopiero jednak po trzech dniach zdołali wyprzeć Japończyków z Bataanu. Resztki ukrywających się w nadbrzeżnych pieczarach wyniszczyły lub wzięły do niewoli łodzie motorowe „Canopusa”, które dowódca jego przerobił na małe okręty wojenne z opancerzonymi burtami i mnóstwem karabinów maszynowych. Owe żartobliwie

nazywane „Micky Mouse — Battleships” pełniły takie funkcje wielokrotnie, często przy współpracy kanonierek.

Jeszcze jedno ważne zadanie spełniała flota w dniach obrony Bataanu.

Komandor Slocum za pomocą radiostacji marynarki na Corregidorze kierował w porozumieniu ze sztabem admirała Harta na Jawie zaopatrywaniem w amunicję i żywność.

Pomimo blokady japońskiej dwukrotnie udało się okrętom podwodnym przybyć na Corregidor. Funkcję pilota przeprowadzającego je przez pola minowe pełnił wówczas ścigacz Bulkeleya. Przywiozły one dla obrońców Bataanu, dotkliwie odczuwających już głód, 35 ton żywności. Była to tylko jedna kropla w całym morzu potrzeb.

W tej sytuacji obrona Bataanu nie mogła trwać długo.

* * *

Ścigacz porucznika Gastona, zamaskowany siatkami, stał w porcie Marivelles. Był 11 marca 1942 roku. Gaston zapewne nie zdawałby sobie z tego sprawy, gdyby nie wypadek, który zdarzył się w kilka godzin później. Od pierwszych dni obrony Bataanu przestał już liczyć dni. Nie miało to i tak sensu. Czas jest ważny dla człowieka, który ma przed sobą przyszłość.

Od dłuższego czasu Gaston orientował się, że z Bataanu prowadzą tylko dwie drogi na zewnątrz — śmierć albo niewola japońska. Ta druga jednak równała się w praktyce pierwszej. Tak jak żołnierze w dżungli broniący przednich okopów, nie myśleli o niej i marynarze.

Śpiewali tylko piosenkę, która stała się hymnem Bataanu:

We are the battling bastards of Bataan,
No father, no mother, no Uncle Sam.¹¹

Z jej słów wyraźnie przebijało poczucie beznadziejności toczonej walki oraz żal do Wuja Sama — Stanów Zjednoczonych, które pozostawiły żołnierzy bez żadnej pomocy, zdając ich jedynie na własne, wyczerpujące się coraz bardziej siły.

Wczoraj Gaston, korzystając z tego, że silniki jego ścigacza przycumowanego u burty „Canopusa” poddawane były przeglądowi, odwiedził Lindsaya. Zaprzyjaźnił się z nim podczas owego pamiętnego odwrotu z Manili, gdy przyjął czołgistów na pokład swego okrętu.

Lindsay był teraz z powodu braku czołgów dowódcą plutonu w kompanii skautów filipińskich. W ciągu trzech miesięcy nieustannych walk stał się już wytrawnym żołnierzem dżungli.

¹¹ My jesteśmy walczący bękarci z Bataanu, Bez ojca, bez matki, bez Wuja Sama.

Gaston z trudem poznawał w nim młodego chłopca z Manili. Zapadłe policzki, niezdrowo świecące oczy i nerwowy tik powiek uczyniły jego twarz starą i zmęczoną. Czy można się było jednak temu dziwić? Na Bataanie znikło już pojęcie odpoczynku, wycofania na tyły, których zresztą nie było. Kto miał tylko siły ruszać się, nie był ranny lub powalony przez siejącą spustoszenia malarię, tkwił w okopach.

* * *

Przebywali w nich również lekko ranni. W plutonie Lindsaya stanowili prawie połowę żołnierzy.

Mundury mieli w strzępach, twarze poszarzałe ze zmęczenia i głodu. Ziemisty kolor skóry kryły na policzkach wypieki. Gaston wiedział, że takie wypieki mieli ludzie przebywający długo w parnej, wilgotnej dżungli. Była to gorączka lasu tropikalnego.

Jeden z rannych poprosił o papierosa. Zaciągając się dymem, spojrzął na Gastona i rzekł: „A... to jeszcze mamy flotę?... Nie uciekniecie nam chyba, chłopcy?...”

Okolo południa Bulkeley zawiadomił Gastona, żądając zachowania najściślejszej tajemnicy, że dzisiejszej nocy wypływają z Marivelles, zabierając na pokład dowódcę wojsk lądowych generała Mc Athura oraz kontradmirała Rockwella.

Gaston wiedział, że jeszcze przed kilku dniami łódź podwodna „Swordfish” ewakuowała prezydenta Filipin Quenzona i wiceprezydenta Osmenę.

Jeżeli teraz odpływają oni, jest to zapewne już koniec obrony Bataanu. Myśl o tym nie opuszczała go do wieczora. Gdy S-34 ze zgaszonymi światłami niemal bezszelestnie wysunął się z Marivelles, Gaston długo nie mógł oderwać wzroku od ciemnej linii dżungli, nad którą tylko od czasu do czasu wykwiwały kolorowe rakiety. Na Filipinach pozostawała nie tylko Dolores. Zostawiał tu jakąś część samego siebie. Wiedział, że będzie tu musiał powrócić jeszcze wraz z innymi, większymi siłami, by pomóc wydobyć się z japońskiej niewoli bohaterskim ludziom o brązowych twarzach, których Stany Zjednoczone miały czas wyzyskiwać długie dziesiątki lat, lecz których opuściły w krytycznej chwili.

* * *

W Stanach Zjednoczonych, a zapewne i w Tokio sądzono, że jest to już koniec toczącej się od 9 grudnia walki o Filipiny. Wojska japońskie z wzmoczoną energią ruszyły do ostatecznego natarcia na pozycje obrońców.

„Bastardi z Bataanu” nie zamierzali jednak kapitulować.

Wśród nieustannych ataków, głodując i oszczędzając każdego pocisku, bronili swych straceńczych pozycji jeszcze dwadzieścia osiem dni.

Gdy zaczęło już całkowicie braknąć żywności, a żadnemu okrętowi więcej nie udało się przerwać blokady japońskiej, generał Wainwright, dowodzący wtedy wojskami na Bataanie, wydał 8 kwietnia rozkaz ewakuacji półwyspu. Dotyczył on jednak tylko kilku batalionów skautów filipińskich i marynarzy z Marivelles. Pozostali musieli pójść do niewoli japońskiej.

Wśród ewakuowanych znalazł się również batalion kapitana Avacedy.

Żołnierzy przewozili z Bataanu na Corregidor przez noc wszystkie stojące do dyspozycji okręty, barki i łodzie. Ewakuacja ze względu na lotnictwo japońskie musiała być zakończona przed świtem.

Z pokładu kanonierki Avaceda po raz ostatni przyjrzał się Bataanowi, na którym podczas ponad trzymiesięcznych walk zginęła większość jego żołnierzy. Widok, jaki rozpościerał się przed jego oczyma, pozostał mu w pamięci na zawsze. Cały wąski skrawek dżungli, który przez ostatnie miesiące był ich domem, migotał setkami świateł. Las płonął wokół wysadzonych w powietrze składów amunicji. Ziemia drżała od detonacji. W powietrzu unosiły się kolorowymi rojami eksplodujące pociski. Inne przecinały granatowe niebo jak białe rozpalone meteory.

W zatoce Marivelles jasnym płomieniem palił się pływający dok „Devey”. Dalej, w głębi zatoki, sterczał wrak zatopionego przez swą załogę, wiernego „Canopusa”, który przez cały czas obrony Bataanu był bazą dla okrętów i warsztatem rusznikarskim dla wojsk lądowych.

Do końca krótkiej drogi Avaceda nie oderwał spojrzenia od tego widoku. Cała przeszłość ostatnich miesięcy, cała epopeja obrony Bataanu i ta ostatnia noc wydawały mu się snem. Przeczył temu huk dział z Corregidoru, których pociski przelatwały mu nad głową. Oznajmiał on, że obrona Filipin nie jest jeszcze zakończona.

STRACENĆZA WALKA CORREGIDORU

Z chwilą ewakuacji, a właściwie upadku Bataanu, gdyż zaledwie nieliczne oddziały skautów filipińskich i marynarzy przedostały się na Corregidor, tylko ta mała wysepka pozostała wolna od Japończyków.

Nazywano ją różnie. W szumnych tytułach gazet amerykańskich nosiła nazwę „Gibraltaru Dalekiego Wschodu”. Żołnierze z Bataanu mówili o niej prościej i zapewne słuszniej: „Rock” — skała.

Jeśli strategzy i propagandyści z Waszyngtonu w planach swoich chcieli uczynić ją niezdobytą twierdzą, to decydowały o tym nie tyle jej nie ukończone umocnienia, ile duch broniących jej żołnierzy filipińskich i amerykańskich.

Mała wysepka wulkaniczna o wielkości zaledwie 15 kilometrów kwadratowych, odległa o trzy i pół kilometra od brzegów Bataanu, stanowiła właściwie jedną wielką skałę, otoczoną szerokimi, piaszczystymi plażami.

Jako punkt strategiczny u wejścia do zatoki manilskiej, została umocniona, aczkolwiek niedostatecznie, jeszcze przed wojną. W skale ukryto kilka tuneli podziemnych, z których największy był tunel noszący nazwę Malinta, zbudowano schrony dla ciężkich dział kalibru 155 mm, elektrownie, zbiorniki słodkiej wody, magazyny amunicji i szpital.

W czasie obrony Bataanu plaże zostały zaminowane i pokryte zasiekami z drutu kolczastego, potężne zaś reflektory ze schronów skalnych oświetlały morze wokół wyspy, a nawet brzegi koło Marivelles, gdy usiłowały się przekradać tamtędy barki desantowe Japończyków.

Obrona Corregidora, jedyne nie zajętego przez Japończyków punktu pomiędzy Formozą a wybrzeżami Australii, rozpoczęła się 9 kwietnia, tak jak kiedyś w kampanii wrześniowej w Polsce Warszawa donosiła o Westerplatte, jak Moskwa w dniach napaści hitlerowskiej mówiła o obrońcach Brześcia, tak stacje radiowe w Chinach, Australii i Stanach Zjednoczonych co dzień zaczynały swe komunikaty od stwierdzenia, że obrońcy Corregidora bronią się nadal.

Tymczasem Corregidor zamienił się w piekło, rozszalałe nieustannym ogniem ciężkich dział i bomb.

Japończycy ostrzeliwali wysepkę z trzech kierunków: od przylądka Batangas na południu, z Manili oraz Bataanu. Nierzadko ogień otwierały również od strony morza okręty wojenne.

Dochodziły do tego stałe naloty bombowców nurkujących. W ciągu pierwszych czterech dni maja obrońcy przeżyli 52 naloty. Zwalczano je broniąc się równocześnie przed ciągłymi próbami wysadzenia desantów osłanianych ogniem ciężkich dział.

W końcu kwietnia bomby i artyleria zniszczyły elektrownie, część składów amunicji i, co najgorsze, zbiorniki słodkiej wody. Wówczas siły obrońców zaczęły wyraźnie słabnąć. Mogli oni długo pokonywać głód, lecz nie zaspokojone pragnienie w tropikalnym słońcu i rozpalonych skalnych schronach okazało się cierpieniem nie do zniesienia.

Coraz częściej myśleli wówczas o śmierci, która wydawała się wybawieniem i z tego piekła, i przed niewolą japońską.

* * *

O śmierci myślał również kapitan Mc Spadden. Czasem łapał się nawet „na tym, że zazdrościł Lindsayowi, który dostał się do niewoli na Bataanie. Nie wiedział wówczas jeszcze o strasznym „marszu śmierci”, marszu rannych, chorych i śmiertelnie znużonych obrońców Bataanu, których japońscy faszyci gnali 80 mil przez dżungłę bez jedzenia, wody i pomocy lekarskiej, zabijając uderzeniami kolb i bagnietami tych, którzy słabli. Za trzy lata dopiero odpowiedział za ten marsz swoją głową japoński zbrodniarz wojenny, generał Yamashita, ówczesny dowódca na Filipinach.

Większość żołnierzy była już tak wyczerpana nieustannymi bombardowaniami i pragnieniem, że przestali się kryć przed wrogiem. Wielu zamiast okrutnych japońskich samolotów widziało jakieś radosne miraży, do których się uśmiechali. Były to coraz częściej zdarzające się wypadki halucynacji. Inni natomiast zobojętnieli tak, że nie mogli pełnić już służby. Tylko nieliczni zachowali jeszcze siły.

Gdy zbliżał się jednak nowy atak desantowy piechoty japońskiej, wszyscy odzywali na moment niezbędny do odparcia wroga ogniem.

Słyszał ten ogień Mc Spadden.

W tunelu Malinta od dwu tygodni nie było już światła. Leżeli w zupełnej niemal ciemności. Tylko lekarze ze świeczkami w rękach doglądali rannych. Przy tych świeczkach przeprowadzali też operacje.

Powietrze było duszne i przesycone zapachem ropy wydobywającej się spod opatrunków. Ranni nieustannie prosili o wodę, ale dostawali już tylko ściśle określoną ilość. Była ona i tak wielokrotnie większa od przydziału dla walczących żołnierzy.

Mimo grubych skalnych ścian dochodził do wnętrza nieustannie w dzień i w nocy łomot dział. Niemniej często Mc Spadden słyszał huk pękających bomb i szybki jazgot własnych kaemów przeciwlotniczych. Po tym tylko i po stale wnoszonych rannych mógł się orientować, że Corregidor jeszcze się broni.

Corregidor zaś bronił się już dwudziesty siódmy dzień. Tego dnia był bowiem 5 maja 1942 roku; sto czterdziesty ósmy dzień obrony Filipin.

O świcie rozpoczął się trzysetny z kolei nalot bombowców na wyspę, a rano Japończycy przykryli na dwie godziny cały Corregidor ciężką nawałą ognia artyleryjskiego. Widok na morze zasnuła postawiona przez okręty nieprzyjacielskie zasłona dymna. Równocześnie teren wyspy zbombardowały samoloty. Nawała ta zniszczyła umocnienia saperów na wybrzeżu i linie telefoniczne. Generał Wainwright mógł posługiwać się już tylko gońcami. Wtedy o godzinie dziesiątej trzydzieści wylądował na wysepce pierwszy pułk piechoty japońskiej, wspierany pododdziałami czołgów, artylerii, miotaczy ognia i saperów.

Walka z desantem trwała do wieczora. Bezpośrednim ogniem z dział i broni maszynowej Japończycy zostali wduszeni w piaski plaży. Połowa ich poległa.

Wieczorem Japończykom udało się wysadzić w sąsiedztwie Denver Hill drugi pułk piechoty. Do kontrataku ruszył wówczas batalion piechoty morskiej zorganizowanej z marynarzy zatopionych okrętów.

Walka wręcz na granaty i pistolety maszynowe trwała przez całą noc. Rano generał Wainwright ze swego stanowiska przy wejściu do tunelu Malinta zorientował się, że jeszcze tylko dwie kompanie skautów filipińskich i kompania marynarzy bronią wejścia do tunelu, gdzie mieścił się szpital i dowództwo.

Wówczas zdecydował się na kapitulację. O godzinie dziesiątej trzydzieści zawiadomił o tym przez radio dowództwo japońskie.

Ale Yamashita chciał koniecznie „zdobyć” Corregidor. Japończycy atakowali więc jeszcze dwukrotnie. Dwukrotnie odparto ich w walce wręcz.

W tym czasie generał Wainwright depeszą zawiadomił o kapitulacji Corregidoru prezydenta Roosevelta.

* * *

Kontratak żołnierzy z Corregidoru, którzy od wielu dni nie mieli w ustach kropli wody, zakończył epopeję obrony Filipin. Był on zarazem ostatnią walką stoczoną przez marynarzy Floty Azjatyckiej. Większość jej dzielnych okrętów zatonała wraz ze swymi załogami w walce z przeważającym przeciwnikiem na Luzonie, Bataanie i Corregidorze. Inne zginęły w zażartych bitwach w obronie Indii Holenderskich na Morzu Jawajskim i cieśninie Sunda.

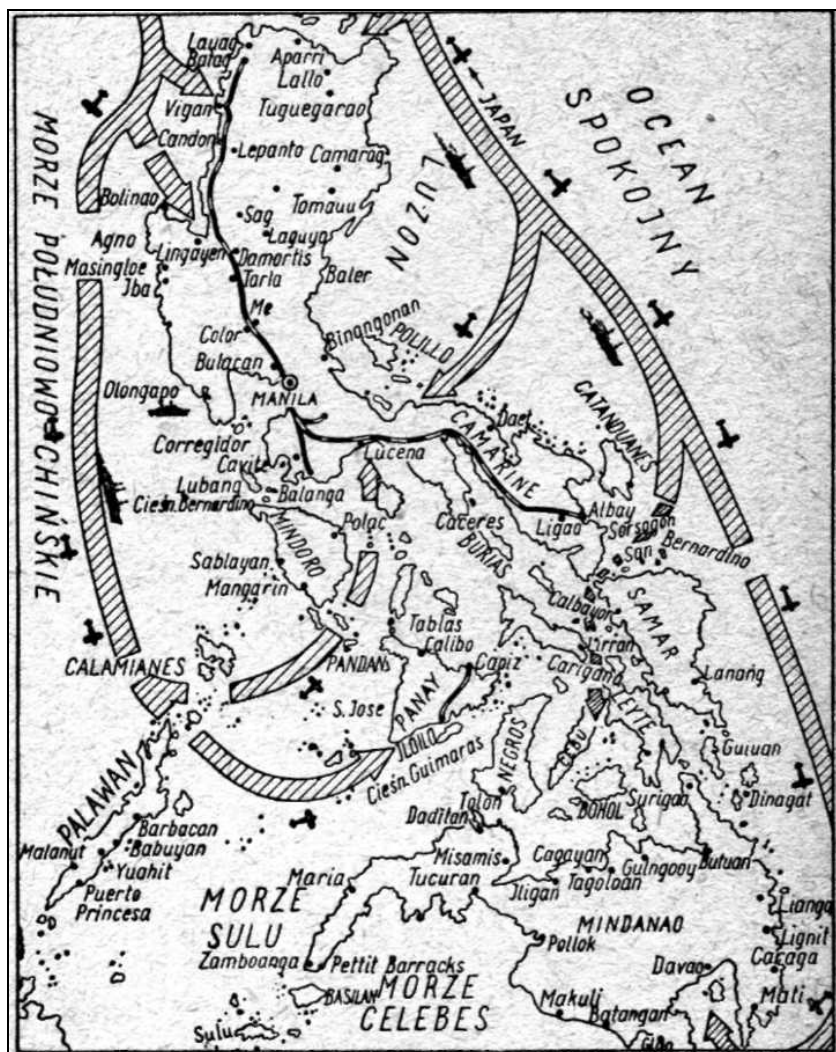
Obrońcy Filipin spełnili do końca swą rolę. Odebrali japońskim poplecznikom Hitlera, planującym błyskawiczną wojnę, bezcenny czas. Utrata jego pozwoliła wkrótce przechylić szalę zwycięstwa na Pacyfiku na stronę narodów zjednoczonych.

W sierpniu okręty odbudowanej już Floty Pacyfiku przerwały wschodni perymetr obronny admirała Yamamoto i dotarły do Wysp Salomona. Walki o nie zapoczątkowały cykl wielkich bitew lotniczo-morskich, w których w następnych latach złamana została potęga Nipponu na morzu i w powietrzu.

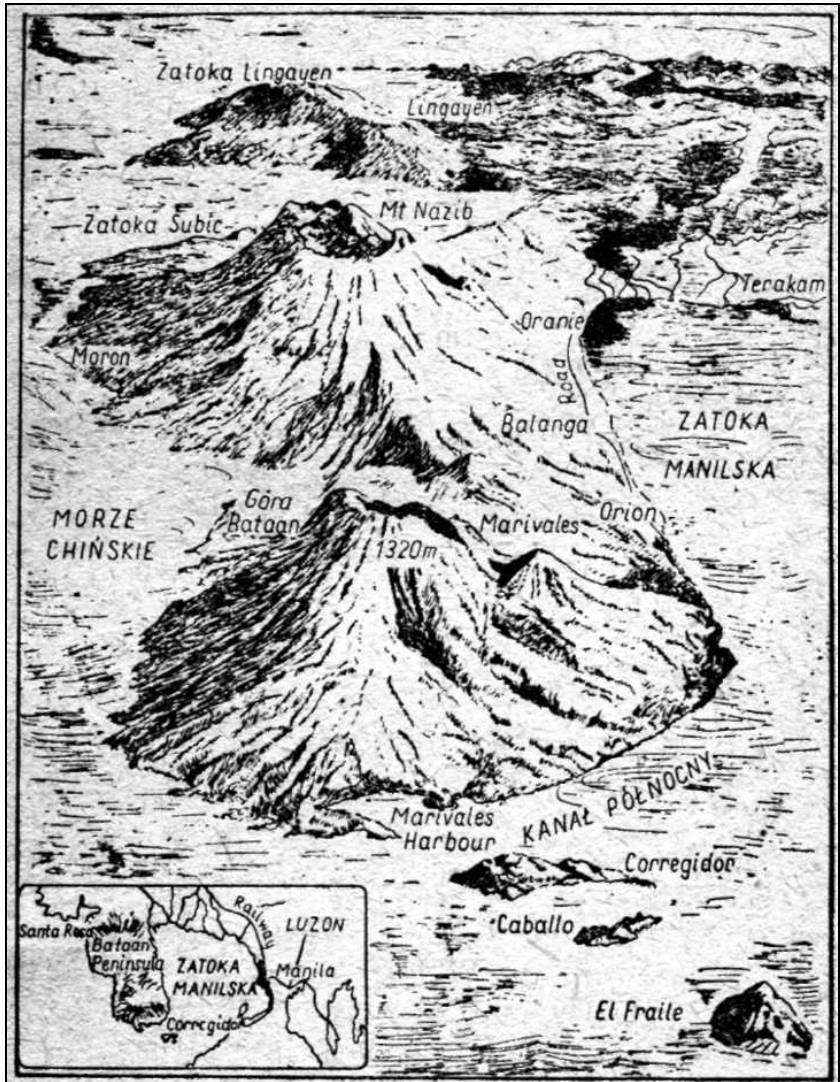
Potężde tej nie uległy również nadal, mimo kapitulacji regularnych wojsk, Filipiny. Przez trzy lata, aż do ich wyzwolenia, władza Japończyków ograniczała się tylko do miast i lotnisk. Całym niemal krajem władali partyzanci filipińscy, nie mniej dzielni niż ich poprzednicy, żołnierze z Bataanu i Corregidoru. Największym ich sukcesem było pochwylenie w roku 1944, podczas wyzwalania Luzonu, okrutnego generała Yamashity¹², winowajcy „marszu śmierci” z Bataanu.

Trzeba stwierdzić, że obrona Pacyfiku przed agresją japońską w pierwszych dniach wojny dokonana była zbyt wielkim kosztem. Płacono za nią ofiarami Pearl Harbor, Cavite, Bataanu, Morza Jawajskiego i Corregidoru. Temu nie byli już jednak winni żołnierze i marynarze walczący przeciwko znowie niemiecko-włoskich faszystów i militarystów japońskich pragnących opanować świat. Odpowiedzialność za to ponoszą politycy z Waszyngtonu, którzy tę znowę długi czas popierali i którzy jej nie zapobiegali licząc, że skieruje się na obrany przez nich cel.

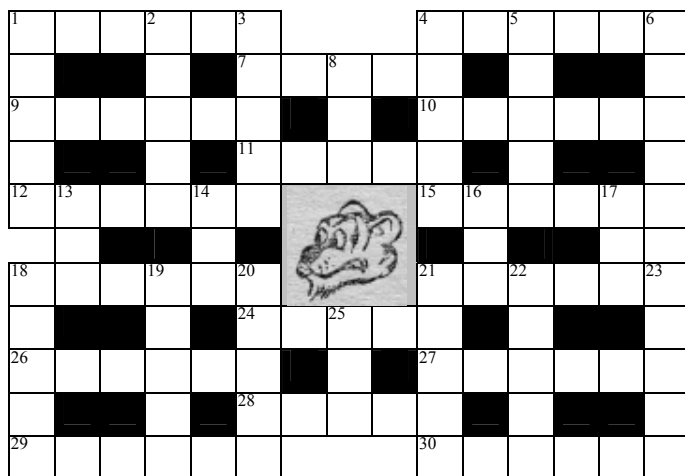
¹² Tomoyuki Yamashita (ur. 8 listopada 1888 - zm. 23 lutego 1946) – japoński generał nazywany „Tygrysem Malajów”. Schwytany 2 września 1945 roku i oskarżony o zbrodnie wojenne, szczególnie przeciw ludności Filipin. Proces odbył się w Manili. Budził szereg kontrowersji, bowiem nie udało się wykazać, iż Yamashita wydawał swoim podkomendnym jakiegokolwiek rozkazy dokonywania okrucieństw wobec ludności cywilnej czy jeńców wojennych. Obrona sugerowała (dziś sądzi się, że nie bezpodstawnie), że Yamashita nie dysponował dostatecznymi środkami, by zapobiec dokonywanym przez podwładnych zbrodniom. Wskazywano również na przypadki gdy karał sprawców okrucieństw. Mimo tych wątpliwości uznany został za winnego i skazany na karę śmierci. Prezydent Truman uchylił się od uwzględnienia bądź odrzucenia prośby o ułaskawienie i zostawił decyzję do ponownego rozpatrzenia przez sąd wojskowy. Ten utrzymał wyrok w mocy. Został powieszony 23 lutego 1946 r. (źródło: wikipedia)



Inwazja japońska na Filipinach



Półwysep Bataan i wejście do Zatoki Manilskiej



KRZYŻÓWKA Z TYGRYSEM

POZIOMO: 1) Pancernik, na którym pływał admirał Yamamoto, szef Połączonych Flot Japońskich, 4) rodzaj noża do cięcia zarośli, używany przez wycofujących się żołnierzy amerykańsko-filipińskich, 7) mała buda, 9) gra hazardowa, 10) śląski stadion zimowy, 11) orzeczenie sądu, 12) działło, 15) inaczej: amperometr, 18) warkocz, noszony dawniej przez mężczyzn, 21) imię męskie, 24) był taki z Rotterdamu, 26) „męskie” imię żeńskie, 27) roślina i owoc amerykański albo przysmak, specjal, 28) pierwiastek chemiczny pokrewny platynie, 29) sznury używane przez Tatarów, 30) pół człowieka, pół ryby u starożytnych Greków.

PIONOWO: 1) Prawidło, miara, reguła, 2) scena w cyrku, 8) niepokój, bojaźń, 4) tytuł powieści M. Gorkiego, 5) pierwiastek chemiczny, 6) mieszkaniec Azji, 8) podarunek, prezent, 13) zapalenie nerwu kulszowego, 14) przedzie płótno, 16) inicjały wydawnictwa, 17) dźwięk, brzmienie głosu, 18) instrument muzyczny, 19) jednostka ubezpieczenia oddziałów wojskowych, 20) niszczyciel amerykański uszkodzony w czasie nalotu japońskiego na Cavite, 21) aktor grający rolę kochanków, 22) najpopularniejsze chyba rośliny, 23) laureat nagrody Nobla, autor „Złotej Kaczki”, 25) głos żeński.

„Zwań”

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania na adres: **Wyd. MON — Warszawa, ul. Grzybowska 77**, z zaznaczeniem na kopercie „Krzyżówka z tygrysem”, rozlosowanych zostanie 10 książek — nowych pozycji z tej serii.

...Pochyłam się i biegną w stronę barykady. nagle uszy przewierca mi potworny huk. Uświadamiam sobie, że potężny podmuch wyrwa mi z rąk minę, a ja sam lecę w powietrzu, aby po chwili (sekunda? wieczność?) grzmotnąć o coś twardego. Kiedy niewidzialna siła przewraca mnie na plecy — zamykam oczy.

W skroniach wali tętno szybciej i głośniej. W prawym ręku czują przejmujący, okropny ból. Niemal siłą rozwieram powieki. Z głuchym brzękiem spadają z powietrza na ziemią stalowe części rozerwanego wybuchem czołgu.

...Gryzą wargi i znów przymykam oczy. Kiedy otwieram je raz wtóry, widzę nad tobą niebo. Niebo czerwone od łun.

To niebo Warszawy.

ŁUDZIE Z INNEGO ŚWIATA

pióra **EDWINA ROZŁUBIRSKIEGO** — „Gustawa”,

uczestnika walk powstańczych w Warszawie, to jeden z najciekawszych, najbardziej frapujących tomików cyklu „Druga wojna światowa”. Dotychczasowy nakład został wyczerpany w kilka dni. Wkrótce ukaże się wznowienie.

Chcąc zapewnić sobie nabycie tej pozycji, należy ją zamówić wcześniej w najbliższym punkcie sprzedaży PPK „Ruch”.

**W CYKLU
„DRUGA WOJNA ŚWIATOWA”**

ukazują się tomiki poświęcone największym sensacjom szpiegowskim wojny

**„GDZIE JEST OBERLEUTNANT SIEBERT?.”
„ZAGADKA CICERO”
„KONIEC RING-KONGA”
„FALSZERZE Z SS”**

— oto tytuły tomików, które odsłaniają tajemnicę niewidzialnych i podstępnych zmagania, ukazują kulisy kłęsk i zwycięstw na polach bitew.

Z tomików tycl-r-dowiadujemy się m.in.:

- o planach zamachu na „Wielką Trójkę” podczas konferencji w Teheranie,
- o przyczynach kłęski pod Arnhem
- o najdroższym szpiegu świata •
- o wykradzeniu tajemnic angielskiej ambasady w Ankarze,
- o profesorze falszerstw,
- o porwaniu generała SS Ilgena.

W przygotowaniu dalsze tomiki o podobnej tematyce. Pamiętajcie: Każdy tomik cyklu „Druga wojna światowa” przynosi nie znane dotąd szczegóły największych zmagania wojennych w historii.

Każdy tomik cyklu „Druga wojna światowa”, stanowiąc doskonałą lekturę rozrywkową, przede wszystkim uczy, rozszerza naszą wiedzę o historii najnowszej.

— MOWIĄ FAKTY — oto hasło cyklu, którego znakiem jest głowa tygrysa. Zapamiętajcie ten znak. Będąc symbolem emocjonującej lektury, jest on zarazem gwarancją sumiennego, zgodnego z historycznymi faktami opracowania.

DZIEJE 2 WOJNY ŚWIATOWEJ WE WSPOMNIENIACH

W. Kisielewski	Z TORUNIA DO LONDYNU PODRÓŻ Z PRZESZKODAMI
R. Lutosławski	DNO NIEBA
M. Pruszyński	W NARWIKU, TOBRUK I MOSKICIE
W. Kon	NA KURSIE PERYSKOP
A. Pokryszkin	ATAKUJĘ
G. Joseliani	PODWODNA WOJNA
P. Closterman	WIELKI CYRK
G. Gibson	PRZED NAMI WROGI BRZEG
A. Zawilski	BATERIA ZOSTAŁA
J. Geoffrey	NORMANDIE—NIEMEN
S. Skalski	CZARNE KRZYŻE NAD POLSKĄ

Wszystkie te książki ukazują się w specjalnej szacie graficznej, wygodnym ujednoliconym formacie, po niższych cenach.

Nakład wymienionych pozycji będzie uzależniany od życzeń czytelników, jeśli więc chcecie zapewnić sobie ich nabycie, zamawiajcie je z góry w księgarniach „Domu Książki”, gdzie będzie można je nabyć.

W przygotowaniu nowe interesujące pozycje tego cyklu.



ZAPAMIĘTAJJCIE TEN ZNAK

CYKL

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA BOHATEROWIE - OPERACJE - KULISY

Otwierają:

- Wielki dzień Dywizjonu 303
- Zamach na Kutschere
- Kamikaze — lotnicy śmierci
- Zagłada Pearl Harbour
- Tajemnica łuku kurskiego
- Ostatni zamach na Hitlera
- Ludzie - torpedy
- Duchy dżungli
- Cyrk Skalskiego
- Ludzie z innego świata
- W pościgu za V-1
- Gdzie jest oberleutnant Siebert?
- „Altmark” statek - widmo
- Wielki bluff Admiralicji
- Stacja nr 4 nie działa
- Falszerze z SS
- Kłeska na Filipinach

Poszczególne tomiki cyklu ukazują się co 2 tygodnie. Ze względu na ograniczony nakład zamawiajcie je z góry w punktach sprzedaży P. P. K. „Ruch”

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE-OPERACJE-KULISY

Dramatyczne wydarzenia największych zmagaj wojennych w historii; przełomowe, nieznanne momenty walk; czujnie sirżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY, W SKŁAD KTÓREGO WCHODZI NINIEJSZY TOMIK